



Fot. W. Billiński

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok VI. ŁÓDŹ, 24. II. 63 r.

Nr 8 (260)

Cena 1 zł

TADFUSZ PAPIER

ROZWAŻANIA przy KOPYCIE

Młodzież mamy różną, „dobrą” i „złą”, „czerwonoczarzną” i „niebiesko-czarzną”, taką, która sprawia nam przykreści, i wobec której, my starsi nie zawsze jesteśmy bez winy. Taka też jest i młodzież rzemieślnicza, pilna i mniej pilna, uczciwa i nie uczciwa, pracowita i mniej pracowita. Szkoliliśmy tę młodzież w nauce różnych rzemiosł w województwie łódzkim (stan na 31 grudnia 1962 r.) 3.583 osoby, w tym w indywidualnym rzemiośle 3.368. W Łodzi mieliśmy w tym czasie 1.447 uczniów, w województwie 1.391. Uczniów młodocianych 2.535 (w Łodzi 1.004, na terenie województwa 1.531). Na wsiach uczyło się 572 adeptów różnych sztuk rzemieślniczych. Proszę zapamiętać te cyfry, odnoszące się do terenu, a odbijające sytuację uczniów ze wsi, gdyż o nich przezwrotnie będzie mowa.

W drugim półroczu ubiegłego roku rozwiązano 397 umów z uczniami (w Łodzi 192, w województwie 205). A więc procent wcale nie-liczny. Jaka była motywacja rozwiązywania umów? W 62 przypadkach z powodu rezygnacji uczniów z nauki zawodu, w 54 — z powodu obojętnej zgody (mistrza i ucznia), w 45 — porzucenie nauki bez uzgodnienia, w 42 — złego sprawowania się uczniów w warsztatach i w szkole, w 40 — zmiany zakładu pracy, w 39 — powołania do służby wojskowej, w 39 — zmiany zawodu, w 24 — likwidacji zakładu, w 21 — wyjazdu ucznia, w 15 — choroby ucznia, w 12 — choroby mistrza, w 4 — śmierci mistrza. W jednym tylko półroczu

rozwiązano prawie czterysta umów. W tym samym czasie rejestrowano nowe umowy, ale nam nie chodzi o dokonanie mechanicznego podsumowania. Trzeba sobie powiedzieć, że zacytowa- ne wyżej zestawienie jest mocno niepokojące. Niepokój rodzi się nie z tego, o czym zestawienie mówi, lecz z tego, o czym nie mówi. A nie mówi o bardzo wielu sprawach. Dowiadujemy się na przykład, że w 62 przypadkach rozwiązano umowy z powodu „rezygnacji uczniów z nauki zawodu”. Dlaczego uczniowie zrezygnowali? Czyżby wszyscy doszli do przekonania, że rzemiosło w dzisiejszych warunkach nie popłaca? Chyba nie. Ale nieco niżej czytamy, że zmianę zawodu zadeklarowało 39 osób. Te osoby wyraziły swój rzeczowy, krytyczny (niekoniecznie ujemny) stosunek do obranej drogi. A więc te

motywy nie wchodzą w rachubę w pierwszej rubryce. Zatem z jakich powodów 62 uczniów zrezygnowało z nauki? A ci, którzy rozwiązali umowy przy „obopólnej zgodzie”? A 45 innych, którzy porzucili naukę „bez uzgodnienia”? Co kryje się za tymi zerwanymi umowami? Rozczarowanie? Niechęć? Przekonanie, że są inne, lepsze kariery życiowe? Jakie konflikty i jakie (być może) dramaty kryją się za tymi cyframi?

LIST W TRADYCYJNEJ KONWENCJI

„Chciałem zostać szewcem. Ojciec umówił się z jednym mistrzem, nawet na szym krewnym. Ale kto wie, czy to nie gorzej się stało, że poszedłem do krewnego. Wprawdzie chętnie mnie przyjął i zameldował (podatek miał zmniejszony), ale zamiast uczyć się zawodu, który bardzo lubiłem, w pierwszym roku musiałem paść krowy, sprzątać w mieszkaniu, zaganiano mnie nawet do prania. Z szewstwa skorzystałem tyle, że nauczyłem się sprzątać warsztat na niedzielę. I coś tam od czasu do czasu przybiłem. Przysłowiowy pociąg wiślał nad drzwiami.

Dalszy ciąg
na str. 6



Fot. W. Billiński



Fot. E. Kudaś

MAREK WAWRZKIEWICZ

SZKOŁY, MŁODZIEŻ, MRÓZ

Licea ogólnokształcące poniosły stosunkowo najmniejsze straty wynikające z klęski, na którą złożyły się silne mrozy i brak opału. Przerwa w nauce trwała za ledwie parę dni i nie spowodowała groźniejszych opóźnień w programach nauczania. Kuratorium dość szybko opanowało sytuację podejmując decyzję o nieprzerwywaniu zajęć w klasach maturalnych i sprawnie zreorganizowało wielką maszynę, przenosząc zajęcia ze szkół nie opalanych do tych, które posiadały węgiel lub były podłączone do sieci Elektrociepłowni. Te przymusowe przeprowadzki, pracujące w szkołach, które nieje-

dnokrotnie mają gorsze warunki, nauka na trzy zmiany (przy czym ostatnia kończy się o dwudziestej) w jakimś stopniu odbija się na wynikach nauczania. Trzeba tu jeszcze dodać, że zajęcia odbywają się w skróconym zakresie i że ofiarą tych skrótów padły, jak zwykle rysunki, w tym podobne przedmioty, co jednak w aktualnych warunkach było wyjściem najwłaściwszym. W sumie jednak sytuacja w szkolnictwie licealnym nie budzi większych obaw.

Gorzej przedstawia się sprawa w szkolnictwie podstawowym. Uczyli się tylko bez większej przerwy klasy

siódme. Zakres nauk był oczywiście skrócony (z programowych 33 godzin tygodniowo — 24) co jednak, sądząc, pozostaje bez większej szkody dla przedmiotów podstawowych. Daje to gwarancję, że przygotowanie do egzaminów poprzedzających przyjęcie do szkół średnich nie będzie odbiegało od poziomu lat ubiegłych. W nauce klas od I do VI zastosowano szereg półroczków, które w dużym stopniu rekompensują normalną pracę w szkole. Zorganizowano punkty konsultacyjne, które w zasadzie objęły całą młodzież szkolną. W organizacji tych punktów władze oświatowe wykazały na prawdę imponującą sprawność — spotkały się zresztą z poparciem i pomocą prawie wszystkich łódzkich instytucji. Uczniowie klas I—VI uczyli się w mieszka-

niach prywatnych, świetlicach zakładowych, salach straży pożarnych, a nawet w schronach TOPLu, otrzymując wskazówki dotyczące pracy w domu. Ogólnym wzorcem, który reguluje tempo nauczania stały się nie- zwykłe pożyteczne lekcje radiowe. Obok podstawowych korzyści pełnia one (dość niespodziewanie) rolę pedagogizowania rodziców. O tym jak dalece są pożyteczne świadczy fakt, że liczne głosy domagają się kontynuowania nauki przez radio również w czasie normalnej pracy szkolnej. Jesteśmy oczywiście dalecy od

Dokończenie
na
str. 6



JAN BABIŃSKI

De Gaulle i Anglicy

Zadziwia mnie trochę nasza nieznanostwo historycznego tła obecnych kontrowersji między de Gaulle'em i Anglikami. Ileż to razy słyszy się w tramwaju i gdzie indziej: Świat się kończy, Francuzi idą z Niemcami przeciw Anglikom, tego jeszcze nie było. Według nas każdy Francuz powinien obowiązkowo kojarzyć sobie postać Niemca z rokiem 1871, 1914, 1940, Anglika natomiast z układnym, bardzo kulturalnym dżentelmenem i twórcą aliancką współpracą. Zupełnie tak, jakby dzieje tak starego narodu jakim są Francuzi, zaczęły się dopiero w drugiej połowie ubiegłego wieku, kiedy to Bismarck zagroził Paryżowi.

Francuz jest dobrze „oblatany” w historii swego narodu. Wychowuje się go i kształci jego charakter na ogromnym materiale humanistycznym. Nauka historii jest jedną z kluczowych dyscyplin każdej francuskiej szkoły. Uczeń z Reims i Marsylii orientuje się w wybornie, że przed Verdun i Marną, było Poitou, Crécy, Calais, Maupertuis, Azincourt, że przed Fochem była Joanna D'Arc.

Profesorowie dokładają starań, by uczeń wrył sobie w pamięć dzieje tragicznej francusko-angielskiej wojny 100-letniej, która przeciągnęła się aż do połowy XV wieku. W bezpardonowych zmaganiach z Anglikami na swej ojczyźnie, Francuzi z największym trudem obronili swą niezawisłość i na swoje szczęście nie podzielili smutnego losu Irlandczyków.

str. 2 **odlatosu**

A potem stało się pytanie, kto ma panować na morzach, Francuzi czy Anglicy?

Odpowiedź dała bitwa pod Trafalgar, w której Anglicy raz na zawsze pozbyli się francuskiego konkurenta do władzy na oceanach. Nieco później „zalatwili się” z Napoleonem pod Waterloo, lamiąc raz na zawsze hegemonię Francji na europejskim kontynencie. Nie sami się zresztą zalatwili. Anglicy zawsze działają w koalicji. Zmiażdżyli żelazną gwardię Bonapartego z pomocą pruskich zabijaków Blüchera. Długo by mówić, na wolowej skórze nie spisze się wszystkich wojen, które Francja prowadziła z Anglią w swej długiej, pasjonującej notabene historii. Francuzi mają dobrą pamięć do tych rzeczy. Oglądałem niedawno francuski film w naszej telewizji (nie pamiętam tytułu). W pewnej chwili tata powiada do swego synka, siedzącego nad lekcjami:

— Pamiętaj, że wrogiem Francji byli i zawsze są Anglicy...

To powiedzenie jest bardzo charakterystyczne i myli się kto sądzi, że to nie ma znacząca opinia tatusia. Mnóstwo Francuzów żywi uraz na punkcie Anglików. Iluż z nich daje do zrozumienia, że gdyby nie „przekleci” Anglicy, byłoby cała Ameryka Północna mówilaby dziś po francusku, a losy świata potoczyłyby się innym torem. W szkołach francuskich nauczyciele nie szczędzą wysiłku, by w najżywszych barwach odmalować dzieje Kanady i Luizjany.

Jest zresztą historycznym faktem, że to Francuzi pierwsi skolonizowali kontynent amerykański na olbrzymich obszarach między rzeką Świętego Wawrzyńca a ujściem Missisipi. To oni

przynieśli ze sobą zmysł do sztuk pięknych, obrotność w handlu futrami, dużą tolerancję w stosunku do Indian, jakże różną od wrogięgo stosunku Anglosasów do wszystkich „czerwono-skórych”. To Francuzi założyli jeszcze w 1717 roku Orlean, dzisiaj — New Orleans. Miasto leży w stanie którego stolicą jest... Baton Rouge.

Luizjana, gigantyczna kolonia francuska, która obejmuje w całości Arkansas, Missouri, Iowa, Kansas, Nebraska, Dakota, więc dziesięć stanów USA, prócz tego obejmuje po części Montanę, Minnesotę i wiele innych stanów. Albo Kanada, w której Francuzi zaczęli się osiedlać na długo przed purytanami z brytyjskich wysp. Po dziś dzień co trzeci Kanadyjczyk uważa język francuski za swój język ojczysty. Anglicy zniechęceni nieprzebrany bogactwem Wielkich Jezior wyparli Francuzów z Kanady, zajęli Montréal i wystawili w mieście Jacques Carrier, gigantyczny pomnik Nelsona, zwycięzcy spod Trafalgaru. Tenże Horatio Viscount Nelson, napisał 9 października 1805 roku pamiętne dla Anglików słowa:

— You must hate the Frenchman as you hate the devil — Nienawidźcie Francuza, jak nienawidzicie samego szatana!

Stare dzieje. Sięgnijmy więc do nowszych, już bezpośrednio związanych z generałem de Gaulle. Kto czytał pamiętniki Churchilla i de Gaulle'a wie, jak rozpaczliwe wołania o pomoc słał rząd francuski w maju 1940 roku do Churchilla. Blagano o tanki, głównie jednak o samoloty, które stały beczynnie na brytyjskich lotniskach. Anglia miała wówczas do swej dyspozycji 1.720 samolotów i 600 tanków. Gdyby Anglicy rzucili do boju wszystkie myśliwce, przewaga liczebna w tym rodzaju broni, przeciw kluczowym, byłaby wtedy po stronie aliantów. Niemcy rozporządzali wówczas 3.500 samolotami.

Nastąpiły znane wypadki. 18 maja 1940 roku niemieckie tanki zbliżyły się do Amiens, 20 maja doszły do morza w pobliżu Abbeville. Nadarzyła się wówczas klasyczna omalże sposobność wzięcia nieprzyjacielskich kolumn w żelazne kleszcze. Waygand połał się w sytuacji i z miejsca zaproponował Anglikom wspólne uderzenie na flankę wojsk hitlerowskich. W ten sposób można było wtedy zamknąć w kotle dywizje niemieckie, które przedarły się do Abbeville. Plan został przyjęty i zatwierdzony przez polączony sztab wojsk alianckich. Brytyjczycy mieli uderzyć z północy na południe, Francuzi z południa na północ. Do przebiecia było zaledwie 40 kilometrów. Skończyło się na tym, że Anglicy pokazali Francuzom plecy. W pierwszym tomie „Wielkiej Wojny Ojczyźnianej” wydany w Moskwie w 1961 roku, można przeczytać na 222 stronie:

„W rozstrzygającym momencie wojska angielskie na rozkaz generała Gorta niespodziewanie opuściły front, podążając w stronę morza. Anglicy porzucili na los szczęścia wojska francuskie i belgijskie, które wciąż utrzymywały pozycje obronne...”

Niemcy puścili się w pogon za uciekającymi Anglikami i 23 maja zajęli Calais, zatrzymali się w odległości 16 kilometrów od Dunkierki. Znajdowali się wtedy znacznie bliżej tego portu niż Anglicy. Liddel Hart w „The other side of the hill”, książce wydanej w Londynie w 1948 roku pisze na 174 stronie, że „Anglików uratowała wówczas osoba interwencja Hitlera”. Otóż Hitler odczuwał skryty podziw dla Brytyjczyków i miał nadzieję na zawarcie z nimi odrębnego pokoju. Dowodem tego

JÓZEF DUTKIEWICZ

Taki problem nasunął mi się po przeczytaniu nowej książki Pawła Jasienicy pt. „Tylko o historii” („Iskry” 1962, str. 283). Autor jest chyba naszym najznamienitszym popularyzatorem historii. Zebrane w tym tomiku szkice-recenzje też temu właśnie celowi służą. Jednak czytamy na str. 39: „Humanizm to wszechstronność... Pisarz, który z lekkim sercem stwierdza, że nic się nie zna na biologii... prędzej zostanie mężem konsularnym niż humanistą”. „Niepokoi mnie beztroška, z jaką historicy odnoszą się do... dyscyplin przyrodniczych” (s. 56). Jasienica jest zdania, że nie grozi nam technokracja, a kryzys humanistyki dostrzega w niej samej, to znaczy w jej izolacji od odbiorców, w jej specjalizacji i zaniedbaniu szaty zewnętrznej podawania wyników naukowych doclekań. Tym chętniej notuje przejawy „dobrej roboty” (przykład książki prof. Kumanieckiego o Cyceronie).

Co do owego twierdzenia, że „budowa wielu fabryk i elektryfikacja kolei to jeszcze nie technokracja”, można mieć zastrzeżenia. Fakt szybkiej industrializacji, przejścia rolnictwa na racjonalne, techniczne formy produkcji powoduje, że w opinii społecznej, w planach państwowych, w programach prac badawczych PAN sprawy technicznych nauk wysuwane są na plan pierwszy, są też najlepiej dotowane. Efektem jest, że ranga humanistyki w porównaniu z innymi z okresem walk o niepodległość zmalała. Ta ogólna deprecjacja humanistyki wpływa ujemnie na rolę historii w procesie wychowawczym.

Książka Jasienicy została wydana przez wydawnictwo przeznaczone dla młodzieży, zalecona do bibliotek szkolnych licealnych, ale wiemy, że cała aktywność Jasienicy skierowana jest raczej do pokolenia dorosłych ludzi. Interesuje się dlatego np. nakładami książek historycznych, ubolewa nad preponderancją beletrystyki, wychodząc z założenia, że wielka literatura powstaje tylko wtedy, gdy jednocześnie kwitnie bujnie nauka historii.

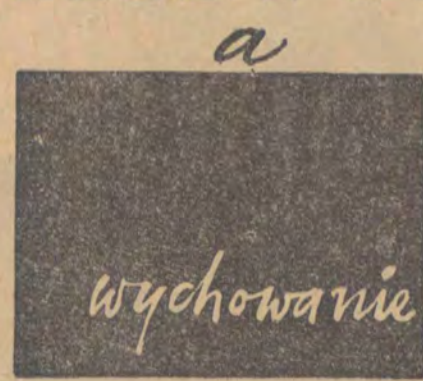
Dla młodzieży nasz problem, to zagadnienie właściwego szkolnego programu, odpowiednich podręczników i dobrze przygotowanego nauczyciela. W związku z reformą szkolną programy ulegają podobno gruntownej przebudowie. Grzeszyliśmy przeładownością materiałem faktycznym, często niedostosowanym do poziomu umysłowego ucznia. Pogoń za materiałem powodowała, że nacisk kładziony był na pamięciowe opanowanie materiału nie pogłębianego, nauczanie historii stawało się serdecznie nudne. Przerabowanie nauczycieli dokonywało reszty. Nauczyciel uczący w dwu szkołach (lub trzech) nie ma czasu sam

jest późniejszy lot Hessa do Anglii z gotowymi propozycjami. Jest to zresztą jeden dowód z wielu i wcale nie ostatni.

Francuzi odczuli ewakuację wojsk brytyjskich jako haniebną ucieczkę z pola bitwy i jako jeszcze jedną lekceję daną im przez Anglików, którzy zdaniem nie tylko Francuzów, specjalizują się w wyciąganiu kasztanów z ognia cudzymi rękami.

De Gaulle, wyniosły pan, wychowany na tradycjach „la grande nation” musiał po przybyciu do Londynu jako szef „Wolnych Fran-

HISTORIA



czytać, nie ma czasu pomyśleć nad tym, jak lekce uczynić interesującą. W książce Jasienicy znajdzie nauczyciel przykłady czytelnego wykładu historycznego.

Wartość wychowawcza historii zależy także od tego, jaką wiedzę podajemy. Toczący się ostatnio spór o bohaterstwo i „bohaterstwo” zahacza o stary problem tradycjonalizmu, postulat „nieszargania przeszłości narodu”. Dydaktyzm w nauczaniu historii był zwalczany od XVIII w. Problem jednak wciąż powraca. Jasienica przedrukował recenzję swą z pierwszego tomu Historii Polski PAN („Twórczość”, wrzesień 1958), gdzie protestował przeciw zbyt jednostronnemu pesymistycznym sądom na temat unii polsko-litewskiej. Rzetelność naukową każe niewątpliwie opowiedzieć się za sądami wielostronnymi, przeciw uproszczeniom. Historia pokazująca same sukcesy, rozgrzeszająca łatwo wszystkie niedociągnięcia, byłaby jaskrawym przejawem narodowej megalomanii. Jasienica bardzo słusznie jest pełen podziwu dla Marc Blocha, że pisząc „pochwała historii” nie zakrywa jej błędów. („Kultura i społeczeństwo”, marzec 1961).

Ani programowy obiektywizm ani internacjonalizm nie wymagają tego, by historyk mówił o przeszłości swego narodu z „sercem miłującym”, co udziela się czytelnikowi czy słuchaczowi. Jednak będziemy pamiętać, że oddziaływanie na uczucie to tylko jedna strona wychowawczego wpływu nauczania historii. Historia jest nauką, dąży do ścisłości, poprawności terminologicznej, równie jak faktycznej. Uczy myśleć o sprawach społecznych. Poznajemy procesy dziejowe po to, by dostrzec, że ich dialektyczny rozwój nie jest zakończony, że tkwimy w nim nadal, a dzieje nie są chaotycznym zbiegiem okoliczności, lecz procesem narastającym przez wysiłek umysłu ludzkiego i pracy ludzkiej wyższym, lepszym formom współżycia i bytu. Oglądamy się w przeszłość nie po to, by hollywoodzko składać, lecz po to, by przez poznanie przeszłości lepiej widzieć dokąd idziemy i jak iść mamy, jak krytycznie oceniać skomplikowane zjawiska naszego ży-

cia społecznego i ekonomicznego.

W książce Jasienicy godny podkreślenia jest esej na temat Sienkiewicza („Twórczość”, styczeń 1956). Po czytaniu autora „Trylogii” bywa wymieniana jako jeden z powodów małej efektywności szkolnego nauczania historii. Jasienica broni Sienkiewicza przed zarzutami nacjonalizmu. Przytacza ostrą recenzję Prusa z „Ogniem i mieczem”, ale podkreśla, że Sienkiewicz nie przemleczal polskich kłesk, że dostrzec u niego można wyraźną sympatię do „pobratymców”. Cytuje niektóre opisy zwycięstw kozackich i wojska kozackiego, napisane z wyraźną sympatią. Takich akcentów nie znajdziemy w sienkiewiczowskich opisie Szwedów. Jasienica dostrzega w tym pozytywny ślad unii polsko-litewskiej, która skazała narody zamieszkujące te kraje na współżycie.

Pragnę nieco popolemizować ze szkicem „Obrona grzesznicy” („Twórczość”, marzec 1958). Rozprawia się tu autor z tezą, że powstanie styczniowe popchnęło Rosję w kierunku reakcyjnym, szowinistycznym. Niektóre z tez zostały ostatnio powtórzone przez Jasienicę na spotkaniu z literatami łódzkiimi, 15 stycznia br. Tak więc zastrzeżenia budzi teza, jakoby bez powstania nie byłoby państwu jeszcze w r. 1914 i nie mogliśmy „wyzyskać szans 1918 r.” Rzykosne jest też twierdzenie, że „do odruchów rozpaczy skłaniają niemożliwe do zniesienia warunki”. Powstanie 1863 było właśnie popędzone wyraźną odwilżą po dusznej erze Paskiewicza. W 1846 właśnie chłopci uwłaszczeni w wolnym mieście Krakowie i Poznańskiem stanęli po stronie powstania. Moim zdaniem, Jasienica także zbyt pochlebnie ocenia książkę Pruszyńskiego o Wielopolu. W przesłankach wybuchu 1863 r. nie dostrzegamy różnicy w rozwoju stosunków kapitalistycznych w Królestwie i dwu pozostałych zaborach.

To są jednak szczegóły. Trzeba się zgodzić z autorem, że historia i cała humanistyka są tylko częścią procesu wychowawczego. Po drugie, że niebezpieczne jest zamykanie się uczonych w wieży z kości słoniowej, ich izolacja od życia.

Dokończenie
na str. 4

Ze świata FILMU

Na ekrany francuskie wszedł już film „Mandrin” reżyserii Jean-Paul Le Chanois. Akcja filmu toczy się pod koniec XVII w., a treścią jego są awanturnicze przygody francuskiego bohatera ludowego Mandrine. Osobliwością tego filmu jest fakt, iż jak pamiętamy, kręcono go częściowo w Polsce. Ale nawet to, jak się zdaje, nie uratowało „Mandrina” w oczach krytyki, która zarzuca filmowi Le Chanois brak tempa i dynamizmu, nadmierną sentymentalność, itd. Słowem, film nieco nudnawy i ciężkawy, acz nie pozbawiony iskry dowcipu i wdzięku.

Stary mistrz francuskiego kina Abel Gance kreśli obecnie we Włoszech niecodzienny film pod szokującym dla miłośników obu bohaterów tytułem „Cyrano i d'Artagnon”. Otóż w roku 1642, za czasów dobrego króla Ludwika XII, dwaj świetni rycerze i zabijaki, tudzież wielcy, jak to się z filmu okazuje, przyjaciele, opuszczają rodziną Gaskonię i ruszają do Paryża. Tam w przer-

skiej „nowej fali” Jean-Luc Godard, autor słynnych filmów „Do utraty tchu” i „Przeżyć swe życie” rozpoczął realizację swego nowego, bardzo oryginalnego filmu pt. „Karabinierzy”. Po raz pierwszy w swej karierze Godard pracuje ze scenariuszem w rękę, a to ze względu na cenzurę. Godard ma już bowiem za sobą smutne doświadczenia związane z filmem „Żołnierz”, który został zakazany przez cenzurę, natychmiast po zakończeniu jego realizacji. Teraz Godard, wołał się wystraszony o pozwolenie cenzury, tym bardziej że temat filmu jest dosyć drażliwy. Gdzieś w świecie żyją w stanie straszliwej nędzy materialnej i moralnej, cztery ludzkie istoty: dwóch mężczyzn: Ulisses i Michał-Anioł oraz dwie kobiety: Wenus i Kleopatra. Pewnego dnia pojawiają się u nich dwóch karabinierów, którzy łudzą biedaków nadzieją sławy, pieniędzy, zaszczytów i bogatych łupów werbują ich do wojska. Wojna skończona, dwaj „bohaterowie” wracają do swej chaty z wiarą w „lepsze życie”. Ale w międzyczasie rząd się zmienił. Dawni bohaterowie okazują się zdrajcami i ci sami karabinierzy, którzy ongi werbowali ich do wojska, teraz zakuwają ich w kajdany, albowiem sprawiedliwość musi stać się zadość.

**MIESZANKA
FILMOWA**

wach między licznymi pojedynkami i potyczkami poznają dwie ówczesne piękności: Marion de Lorme i Ninon de Lenclous. Pech chce, że d'Artagnon zakochuje się w Marion, która wali Cyrana i odwrotnie, Cyrano ulega wdziękowi Ninon, która upodobała sobie d'Artagnona. Ale od czego gaskoński spryt naszych przyjaciół? W nocy, jak powiada przysłowie wszystkie koty są czarne, nie więc dziwnego, że Marion nie poznaje d'Artagnona udającego Cyrana a Ninon Cyrana odgrywającego rolę d'Artagnona. A w dzień wszystko odbywa się zgodnie z wolą pań. W końcu rzecz się wydaje, ale nie martwicie się drodzy czytelnicy, wszystko kończy się happy-endem. Temat filmu jak widać dosyć pikantny i nie wiadomo, co na to powie cenzura. Na wszelki wypadek Gance zaczął mówić swym bohaterom wierszem. Tak, tak, autentyczne aleksandryny rozbrzmiewać będą z ekranu. Co z tego wyjdzie nie wiadomo, ale na razie wszyscy się znakomicie bawią. Wszyscy, to znaczy sam znakomity mistrz Abel Gance i wykonawcy głównych ról w filmie: Jose Ferrer, Jean Pierre Cassel, Daliah Lavi i Sylva Koscina.

Moi biedni bohaterowie — mówi Jean-Luc Godard — mogliby mieszkać wszędzie. Aby uniknąć nieporozumień, nie wymieniam żadnego kraju ani żadnej określonej nazwy geograficznej. Karabinierzy są ludźmi „Króla”. Ich mundury łączą w sobie elementy stroju mediolańskich kontrolerów tramwajowych i carskich oficerów. W rolach głównych występują debiutanci, lub bardzo młodzi i nieznanymi aktorzy: Genevieve

**MIESZANKA
FILMOWA**

Galea, Catherine Ribero, Albert Juross i Marino Mase.

Miłośników telewizyjnego filmu „Znak Zorro” ucieszyć możemy wiadomością, iż Harry Yoe Brown i Mario Caino zrealizowali nową wersję bohaterstwa i romantycznych przygód walecznego obrońcy ludu i uciskanych. Tym razem obrońca ten mniej ma w sobie błękitną krew, a bardziej przypomina dzielnego kowboja, ale całość nie na tym nie traci. Bohater walczy z tyranią wojskową dyktatora Meksyku i obowiązkowo zwycięża. Film nosi tytuł „Znak Zorro”. W roli głównej występuje Sean Flynn, syn wielkiego Erola. Towarzyszą mu Folco Lulli, Daniele de Metz i Gabby Andreu.

Duże zainteresowanie wzbudził odważny amerykański film „Dom kobiet” reżyserii Waltera Danigera. Film w dosyć śmiały i nonkonformistyczny sposób pokazuje więzienie dla kobiet. W rolach głównych wystąpiły Shirley Knight, Constance Ford, Barbara Nichols i inne.

Po ukończeniu „Szalonego morza” w reżyserii Castellani, gdzie po raz pierwszy gra rolę kobiety niemłodej i brzydkiej — Gina Lollobrigida wyjeżdża do Szwajcarii. Tam bowiem Franco Rossi rozpoczyna zdjęcia do swego najnowszego filmu „Odwilż”. Lollobrigida wystąpi w „Odwilży” u boku Montgomery Clifta. Jest to dowód dużego uznania dla Giny, bowiem Clift, jeden z najznakomitszych amerykańskich artystów, uznaje u swego boku tylko aktorki dużej klasy.



CLAUDIA CARDINALE

ALEKSANDER NIEŚMIAŁEK

„Gangsterzy i filantropi”

Udany, pierwszy fabularny film znanych dokumentalistów Jerzego Hoffmana i Edwarda Skórzewskiego m. in. autorów świetnych krótkometrażówek: „Uwaga, chuligani!”, „Dwa oblicza boga”, „Początki z Zakopanego” i „Prosto z patelni”, jest w naszej komedii filmowej zjawiskiem bardzo przyjemnym, szczególnie po takim „dziele” nudy, jakim był w końcu roku ubiegłego „Klub kawalerów”. Nie znaczy to wcale, że Hoffman i Skórzewski zrealizowali komedię filmową „bez pudła”, bez pewnych braków, szczególnie widocznych w kompozycji dramaturgicznej filmu. Podział filmu „Gangsterzy i filantropi” na dwie nowele nie jest jeszcze potknięciem.

Niemniej, nie wyszło autorem połączenie tych dwóch nowel, ich wzajemne ze sobą zderzenie, skontrastowanie. Bo przecież w pierwszej noweli o świetnie opracowanym „riff” (z Holoubkiem w roli głównej) chodziło o ukazanie nierówności nawet najbardziej skutecznego działania najlepiej przygotowanych „technicznie” złodziei, jeżeli w grę wchodzi tzw. nasza codzienna rzeczywistość z pozornie może drobnymi komplikacjami. I oto ta sama rzeczywistość ze swymi anomaliami sprzyja, a nawet sama prowokuje do kantów i przeobraża niektórych spokojnych, acz rozważliwych obywateli w sprytnych kanciarzy. Zderzenie nie-

„naszej rzeczywistości” nie następuje w filmie Hoffmana i Skórzewskiego tak wyraźnie, jak to być powinno. Pierwsza nowela skądinąd świetnie grana i tak samo zrealizowana jest chyba zbyt krótka i niezbyt czytelna dla wszystkich spointowanych.

Jak doświadczenie dokumentalistów przydaje się w komedii filmowej, świadczą znane komite realia, wśród których toczy się akcja filmu. Materiał obserwacyjny z warszawskich ulic, lokal, wszystkie szczegóły naszego „małego życia” zostały w „Gangsterach i filantropach” świetnie podpatrzone, dowcipnie spointowane i niemniej znakomicie podane w dialogach napisanych przez Bohdana Czesko

oż w wykonaniu znakomitych aktorów. Wiesław Michnikowski stworzył swoją najlepszą dotychczasową kreację filmową. Toteż zdecydowanie góruje nad pozostałymi choć równie świetnymi wykonawcami: Hanka Bielicka, Gustaw Holoubek, Kazimierz Opaliński, Ryszardem Pietruskim i Mieczysławem Pawlikowskim.

Film Hoffmana i Skórzewskiego bogaty w gagi i świetne pomysły niektórych rekwizytów, wiele również zyskuje dzięki zdjęciom Jerzego Lipmana. Przyjemną piosenkę Agnieszki Osieckiej i Lucjana Kaszyckiego śpiewa w zastępstwie występującej na ekranie Barbary Modelskiej — Irena Santor. Autorem „Gangsterów i filantropów” należy naprawdę szczerze pogratulować bezpretensjonalnej, ironicznej i dowcipnej filmowej komediofarsy.

odgłosy

str.
3

informacje i zaczepki

Wiele domów kultury powstaje w ośrodkach wiejskich w czynach społecznych. Do zupełnie wyjątkowych należy gromada Zawada w pow. brzeskim, w której w ramach czynów społecznych wzniesiono aż trzy domy kultury — w Godaszewicach, Chorzynie i samej Zawadzie.

Krajowy wskaźnik wypożyczeń książek na jednego mieszkańca wynosi 13 woluminów rocznie. Z czytelnictwem w naszym mieście nie jest jednak najgorzej, skoro łódzcy czytelnicy czytają około 24 książek, czyli o 5 więcej niż wynosi średnia krajowa. Liczby te podał niedawno tygodnik „Praca księgarska”.

W popularnym cyklu „Życia Literackiego” — „Głowy podawalskie” — znanego językoznawcy prof. Ułaszyna (zmarł w 1956 r.) nazwano Laszkiem. Ze też tego rodzaju lapsus musiał zdarzyć się w „Życiu” właśnie „Literackim”.

Łódzki Dom Sprzedaży Wyszykowej, wbrew prognozom sceptyków (do których należał także i niżej podpisany) doskonale daje sobie radę. Pomysł „chwycił” i dziś łódzcy handlowcy z ul. Limanowskiego wysyłają na zamówienia swoich klientów około 800 paczek dziennie.

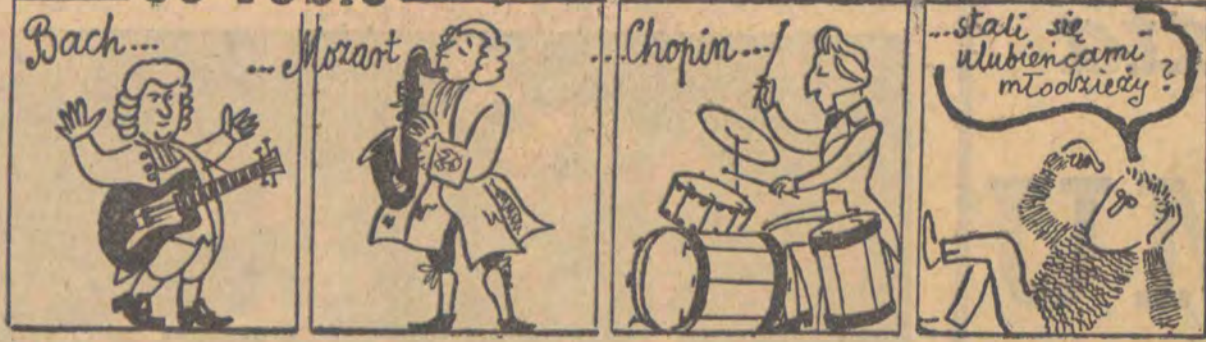
Mały Teatr Telewizji nadal ostatnio interesująca sztuka Zbigniewa Nienackiego pt. „Styks”. Program szedł z Warszawy, ale zarówno autor, jak i reżyser (Janusz Majewski) są łódzianami, co nas oczywiście bardzo cieszy.

Od jakiegoś czasu w łódzkim „Expressie” znany rysownik Kazimierz Mozolewski („Karuzela”, „Szpilki”, „Trybuna Ludu”, przedruk w prasie zagranicznej), publikuje bardzo dowolne i ciekawe rysunki, zawsze aktualne cykle rysunków satyrycznych. Czy nie byłoby ładnie, gdyby tak zorganizowano (choćby w Klubie Dziennikarza) wystawki tych figlarnych żartów. Zresztą nie tylko Mozolewski. Mozolewski mógłby zacząć „Karuzela” ma świetnych rysowników.

Sprawdzone wreszcie do Łodzi świetna wystawa „Kulisy teatru” wybitnego fotografa polskiego, Edwarda Hirtwiga. Zainteresowani, a jest ich w Łodzi z pewnością sporo, mogą obejrzeć ekspozycję w salonie Łódzkiego Towarzystwa Fotograficznego, przy ul. Andrzeja Struga 2.

J. W.

Co robić aby...



ANDRZEJ MAKOWIECKI

Hucznie obchodził „Klub 77” trzecią rocznicę swego powstania. Kawiarnia klubowa stała się miejscem spotkań studentów z młodymi dziennikarzami, filmowcami, aktorami i muzykami. Do cie kawowych imprez zorganizowanych w ostatnich tygodniach przez kierownictwo Klubu zaliczyć należy spotkanie z kierownikiem artystycznym Filharmonii Łódzkiej S. Marczykiem, trzy wieczory poezji, „Konkurs jednego wiersza”, „Noc poezji i jazzu” (impreza ta ma być jeszcze parokrotnie powtórzona) oraz koncert jubileuszowy Studenckiego Jazz-Clubu zakończony całonocnym jamem. Fakt, iż jubileusz Klubu nie przebiegał pod kątem dyskryminacji muzyki niewątpliwie cieszy. Jednakże zachowanie się młodzieży na wszystkich wyżej wymienionych imprezach upoważnia do twierdzenia, że w zestawieniu z filmem, teatrem i literaturą, muzyka — wyjąwszy niernormalnie popularny big-beat — jest dziedziną sztuki najbardziej przez środowisko studenckie zaniedbana, najpowszechniej przez to środowisko poznana. Próby wciągnięcia młodzieży w dyskusję o muzyce napotykają trudności na pozór nie do pokonania. Dyrygent Marczyk po przeszło godzinnej, solowej produkcji na próżno oczekiwał pytań ze strony słuchaczy. Doremnie również oczekiwał na sensowne pytania zaproszeni przez Klub młodzi muzycy z orkiestr rockowych i jazzowych. Jeden z nich — solista orkiestry Henryka Debicha, Andrzej Rokicki — namawiał gorąco słuchaczy do uczestniczenia w płytkowych, filharmonicznych koncertach muzyki poważnej, w czasie których sale świetnie występują takich sław jak Rostropowicz czy Ringelissen. Inny uczestnik spotkania, Andrzej Królikowski — autor popularnej łódzkiej audycji radiowej „Melodia, rytm i piosenka” oczekiwał ze strony sali na propozycje zmian repertuarowych w swoim programie. Nieliczne głosy, które padły z sali w 90 proc. dotyczyły big-beatu. Dlaczego nie ma radiowego zespołu big-beatowego? Dlaczego Jazz Club nie opiekuje się młodymi twórcami? Tylko jedno pytanie dotyczyło aktualnego

poziomu artystycznego łódzkiego jazzu. Mimo wyraźnej prowokacji Rokickiego, pytań dotyczących muzyki poważnej nie usłyszeliśmy. Sprawa wydaje się jasna. Dla przerażającej większości młodych ludzi — muzyka to big-beat. Przyjmując taki stan rzeczy za prawdziwy, zrozumimy niechęć młodych do zabierania głosu w dyskusji o muzyce, która big-beatem nie jest. Trudno przecież dyskutować o tym, czego się nie zna, lub zna z widzenia. Skoro wyrzuciliśmy z pamięci pasjonującą nas dawniej jazz, nie należy dziwić się, że zapomnieliśmy o Chopinie. Różycykiem i Szymanowskim, że nie interesują nas satkosy Jakowic-

go, że nie mieli co robić z czasem, że nie wiedzieli gdzie się podział. Ci, wydawałoby się zupełnie na sztuce obojętni. W wypadku muzyki należy oczekiwać analogicznej reakcji nie przygotowanych odbiorców. Pewne fragmenty utworów trafią do nich na pewno. Kto wie, czy po upływie pewnego okresu czasu nie trafią do ich uszu całe utwory. Organizowane w kawiarni przesłuchania będą miały sojuszników w postaci wstydu ludzkiego, ludzkiego snobizmu. Wstyd przed ostantacyjnym opuszczeniem sali z chwilą rozpoczęcia się koncertu oraz snobistyczna chęć zademonstrowania

Wyszłej Szkoły Muzycznej, dlaczego tego nie robi? Koncerty takie dadzą olbrzymie korzyści zarówno studentom, jak i młodym muzykom, dla których możliwość publicznego występowania stanie się bodźcem do podnoszenia swych muzycznych kwalifikacji oraz okazją do sprawdzenia w obliczu audytorium swych artystycznych dyspozycji. Polacy — ongi naród muzyczny — zapominają powołać o tradycjach muzycznych swej ojczyzny. Czasami jednak gorący, patriotyczny apel serca każe nam rywalizować z przedstawicielami innych narodów nawet na polu muzyki. Pamiętam dzień, w którym Klub gościł delegację studentów szwedzkich. Niedbale ubrani, siedzący przy stoliku Szwedzi nie stąd ni zowąd zaczęli śpiewać. Również, rytmicznie, melodyjnie. Gdy piosenka szwedzka dobiegła końca, nasi nagrodzili wykonawców bravami, potem zaś dla uczczenia gości i w celu zaprezentowania im rodzimego folkloru zaśpiewali nasz drugi hymn państwowy — „Sto lat!” Zabrzmiało to bardzo żałośnie. Szwedzi nie szczepili brawo, by po chwili zaśpiewać znowu — jeszcze lepiej niż za pierwszym razem. Przynależało im pod względem ilości zaśpiewanych w tym turnieju piosenek nasi nie zostali w tyle za Szwedami. To zaś, że każdy Polak śpiewał w innej tonacji, to że każdy starał się śpiewać głośnie i sąsiada, a barwą głosu przypominał bledniaka ze „Śródmiejsciej”, nie miało widać większego znaczenia. Wprost rzeczyna okazała się interpretacją drugiej części „Dziweczki idącej do laseczka”. Ci z sali, którzy nie przyłączyli swych głosów do chóru, rumienili się ze wstydu. Wiele z nas traktuje takie potknięcia jak żarty, może nawet dobre żarty. Ale minimalnie osłuchany młodzieniec szybko zrozumiałby niestosowność tego rodzaju dowcipów. Klub ma szansę rozpropagować muzykę wśród swych bywalców. Gdyby na skutek akcji Klubu wzrosła frekwencja na koncertach filharmonicznych, gdyby Malcużyński i Ojstrachowie mogli grać zawsze przy pełnej widowni, gdyby nowoczesny Jazz znalazł odbiorców w osobach studentów, bilbilny kierownictwo Klubu długie i gorące brawa, takie, jakimi nagradzamy wstępny wspomnianych w tym felietonie artystów.

Muzyka i obyczaje STUDENCI a MUZYKA

czka i Rowickiego. Należy jednak zastanowić się teraz czy Klub Studencki nie jest przypadkiem w stanie zrobić czegoś więcej dla muzyki niż zrobił dotychczas. A może właśnie on ma możliwość uleczyć przynajmniej pewien procent młodych z zaawansowanej impotencji muzycznej. Jak wynikało z relacji kierownika Klubu, sekcja kulturalna ZSP organizowała kiedyś przesłuchania nagrań muzyki poważnej z płyt w czytelnik. Z powodu minimalnej i wciąż spadającej frekwencji akcja została w końcu zarzucona. Czy nie należałoby powtórzyć tego eksperymentu w kawiarni klubowej? Wszak spotkania z nie najtwardszą poezją Eliota, Apollinaire'a i Majakowskiego odbywały się właśnie w kawiarni a nie w czytelnik. Poczynione przede mną obserwacje pozwalały stwierdzić, iż piękno trudnej poezji odczuwali w pewnych momentach nawet ci, którzy się dzielili w Klubie tylko dlate-

pełnego głębokiego zrozumienia dla sztuki stosunku, zatrzyma w kawiarni wielu snobów „muzyki. Snobizm w wielu wypadkach daje w efekcie rewelacyjne rezultaty. Snobistyczna a wrażliwa jednostka zaczyna niezuważalnie dla siebie samej przyzywać do obiektu, który otacza snobizmem, by w pewnej chwili przelotycznie w szersze oddaną sztuce istote. Nie znaczy to, że tak jest zawsze. Jako uwerturę do akcji odgłoszenia proponuję cotygodniowe, stałe, zamknięte się w obrębie jednej godziny przesłuchania z płyt. Popularny polski repertuar klasyczny będzie chyba najlepszą treścią pierwszych przesłuchań. Z pewnością okaże się, że przy Chopinie i Szymanowskim kawę pije się tak samo dobrze, jak przy na trętnych frazach twista. Kierownictwo Klubu stać jest zapewne na organizowanie co miesięcznych koncertów kameralnych z udziałem studen-

Obywatela Redaktorze!

Z dużym zainteresowaniem przeczytałem wnikliwy, ze znajomością rzeczy napisany artykuł J. Brysza i K. Pogorzałego o wynikach i problematyce sesji naukowej „Łódź — Województwo w planie perspektywicznym” („Ogłosy” nr 4 z 27. I. 1963). Zmuszony jednak jestem prosić Redakcję o sprostowanie pewnych nieścisłych informacji jakie znalazły się w artykule, a dotyczą mojego wystąpienia w dyskusyjnej części sesji. Autorzy artykułu, najprawdopodobniej wskutek przesłyszania, imputują mi pogląd o niebezpieczeństwie 100-tysięcznej nadwyżki rak do pracy na terenie Łodzi w objętej planem perspektywicznym 1980 r. Jest to po prostu nieporozumienie. W swoim wystąpieniu rzeczywiście zwracałem uwagę na, moim zdaniem, niedopracowane, wysocce wątpliwe założenia planu, dotyczące zarówno przewidywań demograficznych, jak i łódzkiego bilansu siły roboczej. Osobiście sądzę, że sytuacja w tej dziedzinie może być inna, niż przedstawiają się w sposób o wiele mniej korzystny, niż to przewidują autorzy obecnego wariantu planu. Podałem krytykę między innymi przyjętą w planie tezę, iż zatrudnienie w łódzkich gałęziach poprzemysłowych będzie mogło wzrosnąć w latach 1960—80 o 85,5 tys. osób, przy założeniu skróconego dnia roboczego, bądź też o 100 tys. osób w razie niezmiennego dnia roboczego. Tezę tę uważam za pozbawioną dostatecznych podstaw. Wolno przypuszczać, że w tym kontekście wypowiedziana przeze mnie liczba „100 tys.” posłużyła autorom jako „rodło” opublikowanej informacji. Zbędnym jest dowodzić, że w obu przypadkach znaczy ona zupełnie coś innego. Zaprezentowane w sesyjnych referatach perspektywy rozwoju podstaw gospodarczych miasta oraz bilansu jego siły roboczej, oceniam jako niedostateczne i, jak się zdaje, dość niebezpiecznie uproszczone, nie „posuwam się” jednak do głoszenia absurdalnego w swej istocie rachunkowej wniosku o zawartej w planie groźbie 100-tysięcznego bezrobocia.

Doc. dr J. MUJŻEL



De Gaulle ' Anglicy

Dalszy ciąg ze str. 2

wytrwale do wytkniętego celu, którym było dla niego najwyższe dobro brytyjskiego imperium. Otóż flota angielska pod dowództwem wiceadmirała Sommerville'a zaatakowała nieoczekiwanie francuskie okręty wojenne, stojące w Oranie (Algieria). Okręt liniowy „Bretagne” zatonął, pancerniki „Provence” i „Dunkerques” zostały ciężko uszkodzone. Tego dnia śmielec poniosło od angiel-

skich bomb lotniczych przeszło 1.300 marynarzy francuskich. Flota francuska zajmująca wówczas czwarte miejsce w świecie, została w znacznej mierze unieszkodliwiona.

De Gaulle jest anglofobem, pewnie, że tak, lecz nie on jeden. Wpływy de Gaulle'a nie ograniczają się bynajmniej do kół militarystycznych, kręgów byłych kombatanów z ruchu oporu i wielkokapitalistycznych grup przemysłowców. Kto tak sądzi, oddaje się złudzeniu. Przeżyje, być może, niejedną jeszcze zawód w postaci wyników kolejnego referendum. De Gaulle doskonale wie, że nie jest sam. Gra na nutkach nacjonalistycznych, na niechęci dużej części Francuzów do sąsiada po drugiej stronie kanału.

„Perfidny Albion”, to szeroko znane powiedzenie nie jest wymysłem Bismarcka, ani żadnego innego Niemca. To Jacques Bénigne Bossuet (1625—1704), historyk, biskup, filozof, wychowawca, delfina, wykrzyknął w przy płynie złości:

„L'Angleterre ah, La perfide Angleterre”.

Później, w dniach Wiel-

kiej Rewolucji Francuskiej, lud paryski zsumował to po wiedeńskie do krótkiego, jak że wyrazistego „Albion perfide”.

Historyczne tło stosunków anglo-francuskich jest niesłychanie powikłane, najczęściej wskazuje Anglia była górą. Dziś Francja próbuje wysunąć się na czoło zachodniej Europy, próbuje rozwinąć swój potencjał gospodarczy. Jak na ironię losu, w teście Dunkierce, która stała się synonimem wielkiej klapy, wielkiej armii, Francuzi budują rozległy kombinat metalurgiczny, który już w 1965 roku ma produkować 6 milionów ton stali i będzie jedną z największych stalowni świata. W roku następnym, jak podaje „Le Monde” w jednym z ostatnich numerów, rozpocznie się budowa zakładów takiej samej mocy na przedmieściach Marsylii. Francja rozwija się, chociaż straciła kolonie, pragnie stać się ponownie krajem złotego franka i miliardowych, rezerw dolarowych. Anglia natomiast nie może się wyrząbać z kłopotów, bezrobocie w Szkocji i Walii przybiera niepokojące rozmiary, produkcja stali

spada od 3 lat. Są to typowe wznioły i upadki państw kapitalistycznych i typowe między nimi sprzeczności.

De Gaulle może więc sobie pozwolić na gesty w stosunku do Macmillana, które przy najlepszej woli trudno nazwać przyjaznymi, z pewną pewnością jednak sprawiają one francuskiemu generałowi dużą satysfakcję. Pragnie dźwignąć Francję na piedestał moźnych tego świata. A że Anglii bardzo się taka perspektywa nie podobą próbuje trzymać Albion z dala od Europy kontynentalnej. Podejrzuwa, że gdy wpuści się Anglię do Wspólnego Rynku, to Anglia albo sięgnie po berło pierwszeństwa, które de Gaulle zarezerwował dla siebie, bądź też rozsadzi Wspólny Rynek od wewnątrz.

Anglicy mało mówią i mało piszą o patriotyzmie, są jednak fanatycznymi patriotami na co dzień. Anglik nigdy nie zmienia odczynu. Jest również przekonany (mówię o przeciętnym Angliku), że świat składa się z Anglików i ludzi, którzy bezskutecznie usiłują być Anglikami.

De Gaulle pragnie przywrócić Francji świętostwo Ludwika XIV, który mawiał „L'etat c'est moi” — państwo to ja, a także wielkość Napoleona, który próbował zjednoczyć Europę francuskim orężem i skończył w angielskim więzieniu. De Gaulle wyrósł w atmosferze kultu dla pełnej splendoru przeszłości Francji, dla jej misji cywilizacyjnej i kultury. Ponoć gdy ujrzał jako chłopiec po raz pierwszy Notre Dame w słonecznym blasku, popadł w ekstazę. Z drugiej strony Anglikom też niczego nie brakuje, to twarde sztuki, oni nie z tych, żeby się zrażać pierwszym niepowodzeniem. Macmillan w swym telewizyjnym przemówieniu do narodu, zaraz po flasku rozmów brukselskich, wyrzekł niezmiernie ciekawe słowa, które brzmią jak ostrzeżenie:

„Wielka Brytania nie raz wychodziła zwycięsko z sytuacji podobnej do tej. Dzisiaj to się jej również uda...”

To prawda, że Anglia dała sobie radę z indywidualnościami większego kalibru niż de Gaulle. Czy

stary trick uda się i tym razem? Polega on na niewzruszonym kanonie, który obowiązuje każdego szanującego się polityka angielskiego od wieków: supremacja w Europie poprzez rozbięcie najsilniejszego w danym momencie państwa kontynentu, przy pomocy innych państw tegoż kontynentu. Zdaje się, że Anglicy nie zerwali z tą zasadą. Przecież już teraz Macmillan nadskakuje Fanfanemu, już teraz Anglia montuje w samym środku Wspólnego Rynku zwarty blok przeciw de Gaulle'owi. Anglosasj nie mają zwyczaju bawić się w ceregiele, gdy ktoś nadejmuje im na odcisk. Potrafią być wtedy brutalni i bezwzględni, potrafili uderzyć bez rękawiczki i poniżej pasa. Melonik i laseczka dżentelmena zamykają wówczas w szafce.

Tak czy owak rozpoczął się interesujący pojedynek o pierwszeństwo, jeszcze jeden spór w sercu kapitalistycznej Europy. Czym się skończy? Zobaczymy. A nuż de Gaulle'owi wyznaczony został los sławetnego ryce-rza z La Manchy.

JAN BĄBIŃSKI

UGÓR JESZCZE NIE ZORANY

Z kultura jest zupełnie tak samo, jak z owym młynarzem w bajeczce, którego diabeł po bezdrożach wodził i z biednego koła wyjść nie pozwalał. O kulturze się radzi, medytuje, poszukuje się dla jej upowszechnienia efektywnych rozwiązań. A znaczną część światła nadal jest zamknięta, a poziom Estrady, która dociera na wieś nadal znajduje się pod znakiem zapytania, a filmy, wypuszczane w teren nadal są filmami klasy B, jeżeli nie „C”.

I nie potrzeba wielkiej wiedzy o naszej rzeczywistości kulturalnej, aby stwierdzić, że najbardziej pokrzywdzona, pomijana i pozostawiona samopas jest wieś.

Nasz Łódzki Związek Młodzieży Wiejskiej doliczył się dwustu wsi, w których zaniedbanie kulturalne osiąga szczyty. Diabeł tam mówi, nie tylko dobrano, ale i dzień dobry. — Kino, teatr? Jakże kino ofatyguje się do wsi Łaski w powiecie pajęczańskim, która oddalona jest o dziewiętnaście kilometrów od powiatu — trzynastą kilometrów od najbliższej stacji kolejowej, siedem kilometrów od PKS?

Odpowiedni przedstawiciel obiecuje co prawda, że latem, roku bieżącego kina objazdowe zastąpią w swej pracy innowacje — seanse pod gołym niebem. Ale my już wiemy — poleć kulturalne od lat brakuje się dobrymi chęćmi.

Ile ma kin objazdowych województwo łódzkie? Aż dwadzieścia cztery kina objazdowe, w tym dwa panoramacyjne. Szesnaście powiatów. — A ile wsi? — Bagatelka, kilka tysięcy. Według rachunku prawdopodobieństwa wieś Łaski przed jej wygrą w Toto-Lotka, niż obejrzysz seans filmowy na łonie natury.

Kiedy poszukuje się realnych i konkretnych rozwiązań? Impas, a kiedy to poszukiwania podpira się triumfalnie liczbą kin zgola wstydlia, trudno twierdzić, że coś poważnego uzyskamy.

Nawet, jeżeli przyjmujemy, że kino objazdowe trafi do tych dwustu zaniedbanych wsi, w których Związek Młodzieży Wiejskiej zamierza prace prowadzić pięknie, lecz jakże trudna akcja „kulturalniana”, to należy jeszcze zapytać o jedno — a z jakimi filmami jedzą w teren kina? I znowu wyłania się sprawa mocno smutna, gdyż jak wiadomo — choć nie mówi się o tym głośno — w teren idą filmy kategorii „B” — stare kopie, dawno wycofanych pozycji z repertuaru ekranów miejskich. W dalszym ciągu wieś jest filmową Polską B.

I trzecia sprawa z tego samego, filmowego podwórka — nie wystarczy dać widzowi wiejskiemu sam film. Statystyka filmów wyświetlanych w terenie może być sobie bardzo imponująca, co jednak nie znaczy że określony widz wie, skąd wyniósł dla siebie jakieś trwałe wartości. Każdy laik rozumie, że do tego potrzebna jest co najmniej elementarna wiedza i kultura osobista, jakaś dojrzałość w zakresie percepcji, której mieszkańiec zapadłej wsi nie posiada. U nas łatwo jest zbudować mały pałac kultury w Zapadniku, założyć orkiestrę jazzową w Kaczych Dolkach, a bardzo trudno ukształtować jakieś takie na wyki kulturalne.

I w tym zawiera się najbardziej chyba bolaca i fatalna w skutkach pomylka. Mówimy — co ślepemu po kolorach, a głuchemu po muzyce.

I w ten sposób „odfajkowujemy” się często potrzeby kulturalne „mas”. Zaspokajają się albo wątpliwie jakości rozrywki, albo podarunkiem takim, z którym urażony nie potrafi się obejść. Ze sprawami kultury jest trochę jak z abecadłem. Nie można mówić o literze „K”, jeśli wcześniej nie uczylimy A, B, C, D itd..

Wielu działaczy wychodzi z założenia, że radio, telewizja, książka, to podstawowe elementy kultury masowej. Słusznie. Ale dlaczego w czynnych świetlicach telewizor gromadzi największą liczbę osób wówczas, gdy „leci” mecz? Dlaczego w bibliotekach masowy czytelnik żąda przede wszystkim kryminałów albo lektury w rodzaju „Barbaro, kłamiesz”? Dlatego, że mówimy od razu końcówkę litery nie pytając o pierwsze.

Muzeum Sztuki zorganizowało objazdową wystawę malarstwa. Obejrzało ją ponad siedem tysięcy mieszkańców łódzkich wsi. Muzeum Sztuki, zachęcone powodzeniem, przygotowuje następną wystawę. Wydaje się wszystko jest w najlepszym porządku. A jednak, gdy spytać chłopów — co wam to daje, słyszymy: — „Pa trzcie no, sąsiedzie, piękny kuń, jak żywy”. Może tak, a może inaczej komentują zwiędzający te objazdowe wystawy. Nie mam zamiaru okpiwać tej niezwykle pożytecznej inicjatywy; pragnę jednak zwrócić uwagę, że „gola” wystawa najprzedniejszych nawet arcydzieł malarstwa w efekcie będzie mniej warta od odpustowego lanszafu, gdyż ten jest przynajmniej bliski tradycyjnym gustom zwiędzających. Cóż, ślepy nie zna się na kolorach, należy mu najpierw otworzyć oczy.

A tej właśnie kardynalnej zasady polityki kulturalnej nie przestrzegamy. Cyferki, liczby, dajemy to, dajemy tamto. Bierzcie i korzystajcie, ludzie, przecież to kultura, której łakniecie.

Związek Młodzieży Wiejskiej odkrył wędzienie pustych plem na mapie naszego województwa. Zamierza wpisać w nie — przy pomocy swojej młodzieży — nową i bardziej optymistyczną topografię, Młodzieży trzeba w tej akcji pomóc. Czy się pomaga? Nie zawsze, często przeciwnie — pomaga się przeszkadzać.

Wież Łaski w Pajęczańskim — to prawdziwy kraniec świata; brak nawet elektryczności. Kilka miesięcy temu młodzież tej wsi spontanicznie zorganizowała koło ZMW. Poszerzono uciążliwych staran (brak inicjatywy u młodych?), wydzierżawiła — za opłatą osiemdziesięciu złotych miesięcznie — lokal na świetlicę. I to jacy! — Tak zwana „glinianka”. Młodzież sama wybieliła w niej ściany, z desek zbiła stoły i ławy, pomalowała je, ściany ozdobiła rycinami, założyła punkt biblioteczny. Ale na tym rzeczywiście skończyła się inicjatywa młodzieży. Bo ile można nalać z próżnego? — Jak widać wcale nie tak mało.

Wież Świerki w powiecie sieradzkim, pięć kilometrów od najbliższego węzła komunikacyjnego. Jest tam świetlica. Jest świetlica, ale nikt się z niej nie cieszy. Dlaczego? — Bo w tej świetlicy nie ma; starczyło pieniędzy na budynek, na więcej nie starczyło. Przynosi się więc codziennie ławki ze szkoły, żeby chociaż na czym siedzieć. A wieczorem te ławki z powrotem przenosi się do szkoły.

Takich przykładów — rozpaczyliwych przecież, mogłabym zacytować długą listę. Gdzieś, w małych wioskach odciętych od komunikacji, pozbawionych światła, i kontaktów z tzw. wielkim światem, żyją zbuntowani ludzie, którzy usiłują głową przebić mur. Trzeba im pomóc. Trzeba im szybko pomóc. Od lat słyszeliśmy o młodzieży wiejskiej tylko to, że ucieka ze wsi, nie chce tam żyć, nie chce pomagać, pecha się na się do miast. Teraz jesteśmy świadkami procesu w pewnej mierze odwrotnego. ZMS próbuje ożywić małe miasteczka, ZMW próbuje ożywić najbardziej sennie partykularze. Myślę, że jest to tendencja warta poparcia ze strony tych wszystkich, którzy od lat zajmują się upowszechnianiem kultury za rogatkami wielkich miast, za rogatkami



Fot. E. Kudaj

„Znaleźć na wsi meza to prawdziwy problem. Chłopaków jest mało i sami wybrakowani”. — To autentyczne słowa powiedziane żartem przez jedną z dziewczyn wiejskich. Żart pełen jest jednak prawdy. W wyniku zachodzących procesów demograficzno-gospodarczych na wsi polskiej, gdzie jest obecnie przeszło 1 milion dziewcząt więcej niż mężczyzn.

Wśród 1.115 tys. mieszkańców wsi łódzkich (dane z przygotowanego do druku „Rocznika woj. łódzkiego”), żyje 116 tys. młodzieży w wieku 16—24 lata, w tym „pleć słaba” stanowi 63 tys. Oficjalnie więc mamy 13 tys. dziewcząt więcej. Faktycznie różnica ta jest o wiele większa i wynosi kilkadziesiąt tysięcy osób. Przekonamy się o tym analizując bliżej sprawę.

Nie dziwnego, że od czasu do czasu dziewczęta podnoszą na ten temat alarm. Mają one zresztą swoje zorganizowane przedstawicielstwo — rady dziewcząt w Związku Młodzieży Wiejskiej. Właśnie i aktualnie przygotowują się do publicznej dyskusji na ten temat. Rozpoczęła się ona na Krajowym Zjeździe Dziewcząt w dniach 29—30 marca br.

ATRYBUTY I SEDNO RZECZY

Aby wysunąć jakiegokolwiek wniosek na temat „problemu dziewcząt”, który wychodzi daleko poza brak na wsi partnera do małżeństwa — trzeba, na podstawie liczb i faktów, bliżej poznać obraz rzeczywistości. Ważna jest geniza procesów, ich kierunek i rozmiary.

Odechodzenie ludzi ze wsi do miast trwa bez przerwy. W naszym województwie co roku ubywa na wsi kilka tysięcy osób. Spisy obejmują jednak tylko „przemeldowanych na stałe”, pomijając ogromną liczbę tych, którzy mieszkać jeszcze na wsi, ale pracują już w mieście lub na wielkich budowlach — cementowni w Działoszynie, potężnego zakładu „Mostostal” pod Skierniewicami, zagłębia rud w Łęczycy, węzła w Reichstowskiem. Dodać zresztą można szereg mniejszych inwestycji.

Przechodzenie do pracy w przemyśle — to w ogóle proces zdrowy, wskazujący na to, iż nabieramy tężyzny gospodarczej. Jego struktura jednak nasręca wiele obiekty. Już odczuwamy zresztą kłopoty z tego powodu, że wsi odpływa bowiem przede wszystkim młody, zdolny, energiczny, i w przeważającej mierze męski element. Wspomniany żart dziewczyny dosyć celnie to zresztą wyraża.

Taki nurt wymywał wieś z najbardziej twórczych elementów, osłabiając na niej ferment gospodarczy i w ogóle kulturalny, duchowy. Przykładów na potwierdzenie tego można znaleźć dziesiątki. Ma je w zanadrzu każdy światły działacz gospodarczy i kulturalny na wsi. W wielu gospodarstwach zostali tylko starzy dziadkowie niedolni do pracy lub kobiety nie bardzo dające sobie radę z robotą. Stąd też powstał problem „dziewcząt wiejskich”.

Znaczenie więcej chłopów niż dziewcząt idzie do szkół (i „urbanizuje” się, nie wra-

cując na wieś), wielu zdobywa zawody w czasie służby wojskowej, uczy się fachu w fabrykach i na wielkich, przeważnie w całości „męskich” budowlach. Dziewczyny tymczasem... pozostają na wsi i ucza się co najwyżej pisania tęsknych listów.

Nie w tym jednak jeszcze tkwi sedno „problemu dziewcząt”,

przysposobienia rolniczego (SPR) dziewczęta stanowią 1.500, w zespołach przysposobienia rolniczego (PR) obejmujących 14.000 młodzieży, dziewcząt znajduje się... 3.500! Mimo to warto przypomnieć — że stanowią WIEKSZOŚĆ na wsi! Nie przygotowują się do życia, oczekują na nie w stanie zupełnie biernym. Tymczasem krystalizująca się nowa wieś, gdzie technika zastąpiła wiele prostej pracy, będzie potrzebowała ludzi bardziej lub mniej wyspecjalizowanych, przygotowanych zawodowo!

W tak układającym się „problemie dziewcząt” widać zjawiska, które nie pokrywają się z zasadą równouprawienia. I dlatego jest potrzeba świadomego, zorganizowanego przeciwdziałania.

DWA WYJĄTKI

Jedynym zawodem z „feminizowanych” jeśli chodzi o wieś, jest zawód nauczyciela w szkołach podstawowych. Kobiety stanowią 75 proc., co wobec całości wynoszącej ok. 6.000 osób, jest pokaźną liczbą. Niestety, bardzo wiele dziewcząt smuci się z tego powodu: nie ma partnera do małżeństwa, profesja otrzymała przydomek „staropaniacki”.

Dopiero może w przyszłości, w miarę wzrostu technicznej inteligencji na wsi, odpowiedni partner znajdzie się. Bo niestety, partner, jak praktyka dowodzi, musi być odpowiedni. Zwykły wiejski chłopak, często bez 7 klas w roli małżonka obniża ko-

bień. Stąd nie ma dość form działania, które by dziewczęta przyciągały.

Potrzeba pracy, nauki, awansu w tym zakresie jest ogromna, tym bardziej że — jak się twierdzi — kobieta była (i ciągle jest), ostoją konserwatyzmu i zacofania wsi. Przewaga ilościowa kobiet i wiele prawdy w ludowym porzekadle: „baba na wsi dźwiga trzy węgry chałupy, chłop — jeden” — która w programie budowy wsi nowoczesnej, pięć tej poświęcić daleko więcej uwagi.

Kto dziś odpowie na pytanie: Jaka rolę spełniać będą kobiety (właśnie dzisiejsze dziewczęta) na wsi w 1970 r.? Są plany określające bare materiału wsi w tej perspektywie (ilość maszyn, nawozów, plony, hodowla), ale nie ma planów dotyczących czynnika najważniejszego — ludzi. W żadnym planie gromady, ani powiatu nie znajdujemy tego elementu, ani tym bardziej jego części — kobiet. Z braku planu brak jest programu działania z jakimś racjonalnym szkieletem, a więc przeciwdziałającym zjawiskom ujemnym.

ZMW, a w jego łonie rady dziewcząt, prowadzi w pewnym zakresie zawodowe przeszkolenie dziewcząt. Są to szkoły zdrowia, nauka chowu drobiu, gotowania, szweia itd. Co do ilości i jakości — stanowi to ledwie namiastkę w stosunku do potrzeb. Lecz zakres taki wychodzi daleko poza obecne możliwości ZMW. Jest problemem społecznym.

KONCEPCJE

Jakie mogą być rozwiązania? Liczyć się przy nich bezwzględnie trzeba z dyspozycją fizyczno-psychiczną poci. Skoro kobiety raczej nie mogą być „amazonkami na stalowych rumakach”, to mężczyźni powinni ustąpić im miejsca w innych zawodach, gdzie delikatność i skrupulatność kobieca jest pożądana. Przebudowywana wieś stworzy tu szerokie możliwości...

Sytuacja wymaga, żeby dawać kobietom pierwszeństwo, stwarzać nawet lepsze możliwości startu w takich zawodach, jak handel na wsi, księgowość w kółkach rolniczych, GS, GRN, poddawana służba zdrowia, poczta, usługi, służba rolniczej bibliotekarstwa i świetlic, praca w zorganizowanych formach opieki nad dziećmi itp. Poza tym niektóre dziedziny produkcji, jak choćby wartywnictwo, drobnarstwo, młynarstwo, powinny być domeną kobiet. Oczywiście w sensie wyspecjalizowania do pracy na wielkich fermach i do kierowania ich produkcją.

Propozycje te wymagają odpowiedniego kształcenia, nadawania rangi i stabilizacji zawodom. Ogromne możliwości (ciągle nie wykorzystane) nasręca forma kształcenia zaoceanego. Forma najtańsza, pozwalająca X razy zwiększyć ilość młodzieży uczącej się zawodów. W takiej akcji wielką rolę (wpływ na młodzież) spełniać może ZMW.

I czas, aby wymagania w wielu zawodach były większe. Sklepowa, urzędnicza, opiekunka w większym przedszkolu, powinna legitymować się zawodowym cenzusem.

W taki sposób trzeba przygotować tysiące dzisiejszych dziewcząt do zawodowej pracy w wiejskiej świetlicy, bibliotece, przedszkolu, pielęgniarstwie, usługach.

Wszytkie te zawody, w miarę zwalniania przez technikę na wsi rak do pracy, zostaną ustabilizowane. Usługi zwłaszcza potrzebować będą wielu specjalistów. Kobiety, których delikatność, reces, montaż telewizory (Elwro) i radia (Kasprzak, Warszawa), mogą również świetnie je naprawiać. Mogą też reperować żelazka i pralki, strzyć i golić, szyć, dawać zastrzyki.

Kółka rolnicze w województwie już zatrudniają 700 księgowych (w tym 80 proc. kobiet). Za trzy lata potrzeba im będzie przeszło 3.000 osób. Podobnie w innych dziedzinach.

Rzecz w tym, aby program przemian na wsi, plan działania obejmował także ludzi, w tym i — jak widać nie trudno do rozwiązania — „problem dziewcząt wiejskich”.

ZDZISŁAW STRZEPK

ALARM w sprawie DZIEWCZĄT

„Jak zwykle rzecz jest bardziej skomplikowana i ma charakter głębszy. Chodzi o wieś samą w sobie, o miejsce, do klasy i krzyży: „pan” do klasy i krzyży: „Mańka rzucę te kajety i pedę świniom zaparzyć”. Stwierdzono też, że tego rodzaju nauczycielki, angażowane do gospodarstwa, znacznie gorzej wykonują swój zawód.

LICZBY MÓWIĄ

Stoimy, jak się wydaje, przed przełomem w rolnictwie. Potężne środki i poważny arsenał techniki kierowane na wieś do tego zmierzają. (Kółka rolnicze w województwie w 1965 r. mają dysponować 6.000 traktorów, wobec 1.500 obecnie). Powoduje to wielki zjawisk społecznych — rozrost potrzeb kadrowych, nowe zawody, nie notowane dotychczas na wsi szanse awansu... I cóż, jak do tej pory, najatrakcyjniejsze i najliczniejsze „oferty” otrzymują znów pleć brzydka. Jak to wygląda bliżej?

„Oficerska” służba rolna — agronomi, to przeważnie mężczyźni. Na 392 agronomów w gromadach, kobiet jest tylko... 64. I te przyjęto z reguły z niechęcią. Kilka tysięcy potrzebnych już (i w perspektywie) traktorzystów — to tylko mężczyźni. Kierownicze kadry melioracyjne, elektryfikacyjne, handlowe, urzędnicze na wsi — to mężczyźni!

I tak będzie nadal, bowiem w szkołach rolniczych dominują chłopcy. Na 1.839 uczniów techników rolniczych, dziewcząt jest tylko 800. Do I klasy rozwojowego Technikum Melioracyjnego w Bratoszewicach nie przyjęto żadnej dziewczyny. Podobnie w technikum mechanizacyjnych. Jeszcze gorzej, niestety, jest w niższych formach przygotowania do zawodu. Na ok. 5.600 uczniów 2-letnich szkół

nieczny wobec wsi i dzieł autorytet pedagogiczny. Nawet w prasie władze szkolne już skarżyły się: wpada taki „pan” do klasy i krzyży: „Mańka rzucę te kajety i pedę świniom zaparzyć”. Stwierdzono też, że tego rodzaju nauczycielki, angażowane do gospodarstwa, znacznie gorzej wykonują swój zawód.

Pardon — jeszcze jeden zawód, ważny z punktu widzenia dziewcząt wiejskich, zwłaszcza niezamożnych, jest „feminizowany”. W Zakładzie Ubezpieczeń Społecznych poznałem dane dotyczące służących i parobków w Łodzi i województwie. Razem zarejestrowanych jest ok. 2.000 (a ile nieubezpieczonych?! w tym 90 proc. to — służące zwane „pomocą domową”.

Skąd pochodzą? Większość z łódzkich wsi. Pracują przeważnie bez perspektywy, nie poznają żadnego zawodu. W tym tkwi właśnie przyczyna niepokoju.

PROGRAM I LUDZIE

Rzecznikiem interesów młodzieży wiejskiej, w tym także dziewcząt, jest ZMW. W województwie w swoich szeregach skupia on 46,7 tys. młodzieży, w tym jednak tylko 18,6 tys. dziewcząt. Nie chcą należeć? — Cecha jak najbardziej i raz pobudzone, pracują żywo, z inwencją.

W wielu powiatach na narady ZMW, przyjeżdża masa dziewcząt nie — członków. Cecha więc należeć, działać, uczyć się, ale nie znajdują jeszcze dla siebie w organizacji dosyć interesujących i przygotowujących do życia form pracy. Po prostu w naszej koncepcji wsi (odzwierciedla ją także zakres działania ZMW) nie zakreśliłamy adekwatnego (co do ilości i jakości) miejsca dla ko-



Fot.: E. Kudaj

ROZWAŻANIA przy KOPYCIE

Dalszy ciąg ze str. 1

Wprawdzie nie poczułem je go smaku, ale uciekłem od takiej „nauki”. W nagrodę mój gospodarz oskarżył mnie o kradzież skóry”.

List pisany jest w staromodnej konwencji, którą do brze, przynajmniej starsi, pamiętamy. W ten sposób zwierzał się przed wojną młodzi chłopcy, a użury pamiętników. Chciałoby się za cytować te smutne powieści, odkrywające takie prawdy życiowe, „że darmo nikomu nic nie da”, i że „dla siebie każdy musi zapracować sam”, chciałoby się pokazać tych rozczarowanych życiem synów chłopów, którzy „nie mogą na rzyć o kształceniu rzucając próżne marzenia”, i zabierają się do „istożnej i rzeczowej pracy”. „Włec pracowałem na roli orząc i bronując ją pod ziarno, wśród białej leśno wyszłej z ziemi mgły”.

Nie wiem dokąd udał się autor cytowanego listu, może wrócił do ojca, może trafił do miasta, może od czasu do czasu mijamy go na ulicach Łodzi, ocierając się o niego i nie domyślając się, kto zasz, i jakie pragnienia w sobie nosi; nie wiem też w jakiej rubryce odnotowana jest jego zerwana z mistrzem umowa. Czy w tej, która mówi „o porzuceniu nauki bez uzgodnienia”? Bo nie ma w tej tabeli mowy o zrywaniu umów z powodu winy mistrza. Ale nam nie chodzi o jeszcze jeden sentymentalny obrazek; nie chodzi nam również o wykazanie ilu jest „złych”, a ilu „dobrych” mistrzów. Zgodzę się, że dobrych jest przeważająca liczba. List jednak oskarża pewną anachroniczną już strukturę. Na wsi dokonano się wiele zmian,

zmiany zachodzą nawet w najbardziej, zdawałoby się, skostniałej instytucji, „jąką jest rodzina wiejska, nie zmienił się tylko model i funkcjonowanie odwiecznej instytucji mistrza rzemieślnika. I tutaj tkwi sedno sprawy. Jeżeli mówimy o urzekających perspektywach dzisiejszej wsi, jeśli ukazujemy młodym chłopcom i dziewczętom „piękniejsze drogi” i „piękniejsze życie” to dla pewnej kategorii młodych drogi te nie są, niestety, zbyt piękne. Właśnie ta kategoria młodzieży skazana jest na najtrudniejsze zywoty i na wszystkie konsekwencje przestarzałego układu mistrz — uczeń.

Oczywiście, młodociani uczniowie nie są pozostawieni na łasce losu, chodzą do szkół, opiekuje się nimi Izba Rzemieślnicza. Izba prowadzi szkolenie i kontroluje warsztaty, podnosi poziom komisji egzaminujących czeladniczo-mistrzowskich; przeprowadza akcję doskonalenia zawodowego, werbuje rzemieślników wiejskich (legalnych i nielegalnych) na kursy; organizuje szkoły zawodowe i współpracuje z dyrekcjami szkół; organizuje także przy niektórych cechach koła uczniów rzemieślniczych i dąży do rozszerzenia ich na wszystkie cechy. Koła te mają za zadanie „stworzenie warunków do współzycia młodzieży w ramach własnej organizacji i wnoszenia własnych koncepcji zmierzających do podniesienia ogólnego poziomu wykształcenia i wyrobienia społecznego”. Izba opiekuje się także działalnością oświatowo-kulturalną cechów. Można by sobie powiedzieć, że Izba jest pomostem między dawnymi a nowymi laty.

„Ale powróćmy znowu do cyfr. Na ogólną liczbę 2535 młodocianych do szkół zawodowych uczęszcza 1539 uczniów. Na terenie województwa 694, co stanowi 62,5 proc. i w Łodzi 845, tj. 87,5 proc. Na kursy Min. Oświaty zostało skierowanych w II półroczu ubiegłego roku 14 uczniów (1 w zegarmistrzostwie, 3 w stolarstwie i 10 w cukiernictwie). A reszta? A uczniowie, którzy pozostają poza szkołą i poza kursami? Uczniowie, którzy częściej stanowią się z trudnych warunków i z trudnych środowisk i nie oglądali szerzego śwjata i dla których jedyną bramą na ten świat stanowi mała izba mistrza szewca, mistrza krawca czy mistrza innej specjalności? Którzy uczą się zawodu u nauczyciela wskazanego im niemal przez los, jak na loterii fantowej? Trzeba powiedzieć (nie biorąc pod uwagę pojedynczych alarmów i przysmakując na chwilę oczy na zacofanie techniczne, że najczęściej uczą się u dobrych fachowców. Ale mistrz jest nie tylko nauczycielem zawodu. Mistrz jest także nauczycielem życia. Jest wzorem do naśladowania. Przez jego okulary uczeń ocenia ludzi i zjawiska społeczne. Mistrz przekazuje uczniowi swoje tradycje, lepi go na obraz i podobieństwo takich jak

ków do współzycia młodzieży w ramach własnej organizacji i wnoszenia własnych koncepcji zmierzających do podniesienia ogólnego poziomu wykształcenia i wyrobienia społecznego”. Izba opiekuje się także działalnością oświatowo-kulturalną cechów. Można by sobie powiedzieć, że Izba jest pomostem między dawnymi a nowymi laty.

„Ale powróćmy znowu do cyfr. Na ogólną liczbę 2535 młodocianych do szkół zawodowych uczęszcza 1539 uczniów. Na terenie województwa 694, co stanowi 62,5 proc. i w Łodzi 845, tj. 87,5 proc. Na kursy Min. Oświaty zostało skierowanych w II półroczu ubiegłego roku 14 uczniów (1 w zegarmistrzostwie, 3 w stolarstwie i 10 w cukiernictwie). A reszta? A uczniowie, którzy pozostają poza szkołą i poza kursami? Uczniowie, którzy częściej stanowią się z trudnych warunków i z trudnych środowisk i nie oglądali szerzego śwjata i dla których jedyną bramą na ten świat stanowi mała izba mistrza szewca, mistrza krawca czy mistrza innej specjalności? Którzy uczą się zawodu u nauczyciela wskazanego im niemal przez los, jak na loterii fantowej? Trzeba powiedzieć (nie biorąc pod uwagę pojedynczych alarmów i przysmakując na chwilę oczy na zacofanie techniczne, że najczęściej uczą się u dobrych fachowców. Ale mistrz jest nie tylko nauczycielem zawodu. Mistrz jest także nauczycielem życia. Jest wzorem do naśladowania. Przez jego okulary uczeń ocenia ludzi i zjawiska społeczne. Mistrz przekazuje uczniowi swoje tradycje, lepi go na obraz i podobieństwo takich jak



GÜNTER GRASS

WIERSZE

Przełożył: JAN KOPROWSKI

GÜNTER GRASS, prozaik, poeta i dramabopisarz, urodzony 16 października 1927 roku w Gdańsku, w rodzinie przodków polskich, autor głośnej powieści „Blechtrommel”, gdzie opisał m. in. obronę Poczty Gdańskiej w 1939 roku. Obecnie mieszka w Berlinie zach.

on. Czy wzory te są najlepsze i czy autorytety mistrzów nie należy zastąpić innymi? Czy rozszerzenie sieci szkół rzemieślniczych, gdzie rola mistrzów zostałaby sprowadzona wyłącznie do praktycznego nauczania zawodu, nie wydaje się palącą?

I OSTATNIE PYTANIE, KTÓRE WCALE NIE JEST OSTATNIM

Włec stała się miejscem zamieszkania ludzi, którzy reprezentują różne zawody i różne warstwy społeczne. Na współczesną wieś wkroczył agronom, lekarz, technik, inżynier, pojawiła się na wsi izba chorych, świetlica, kino, nawet teatr, po trzeba jest także rzemiosło i to w najlepszym wydaniu. We współczesnym gospodarstwie nie jest potrzebny reaktor atomowy, ale potrzebna jest beczka z porządnymi obreżkami. Trzeba mówić o podnoszeniu poziomu naszego rzemiosła, które przecież w gospodarce narodowej odgrywa bardzo poważną rolę. I nie można na dłuższą metę pozostawić własnemu losowi pewnej, chociażby niewielkiej części młodzieży, która szuka dodatkowych źródeł dochodu poza rolnictwem i wiąże ze zdobyciem zawodu rzemieślnika nadzieję nie tylko na poprawę bytu. Ankiety przeprowadzone przez Pracownię Społecznej Struktury IER wykazują, że „spośród zawodów nierolniczych zawod rzemieślnika wybierają przede wszystkim robotnicy rolni i rzemieślnicy, zarówno bezrolni, jak i posiadający niewielkie gospodarstwa rolne”. A więc grupy nie zawsze uprzywilejowane gospodarczo. Włec dzisiejsza ulega różnym przemianom, upadają stare autorytety i rodzą się nowe, autorytety osobiste ustępują miejsca specjalistycznym i funkcjonalnym, ilość posiadanej ziemi nie decyduje już wyłącznie o znaczeniu w gromadzie. Czy nie czas tak że odnowić i nadać nowego blasku zasłużonemu zawodowi mistrza rzemiosła?

TADEUSZ PAPIER

MÓWI KOBIETA Z WIELKICH GRUZÓW

Kto uprzątnął gruz sprzed moich oczu? Rzadko kiedy, gdy cebula albo małe cierpienie zaopatrują mnie we łzy, odłamek cegły trafia w powiekę; jak dziwnie wyglądają wówczas nowe budowle.

TRZY TYGODNIE PÓZNIJ

Gdy powróciłem z pewnej podróży i otworzyłem moje mieszkanie, na stole stała owa popielniczka, którą zapomniałem opróżnić. Człgosi takiego nie można już odrobić.

SKŁADANE KRZESŁA

Jak smutne są te zmiany. Ludzie odkręcają swoje szylidy, biorą garnki z czerwoną kapusią, odgrzewają go gdzieś na nowym miejscu.

Cóż to są za meble, które zachęcają do wyjazdu? Ludzie biorą swoje krzesła składane i wyprowadzają się.

Okrepy naładowane nostalgią i młdościami wiozą opatentowane siedzenia i pozbawionych patentu posiadaczy tam i sam.

Po obu stronach wielkiej wody stoją krzesła składane; jakże smutne są te zmiany.

PIEŚŃ DZIECIĘCĄ

Kto śmiał się, kto zaśmiewa? I tutaj się wysmiewa. Kto śmieje się, ten podejrzany bo włec, dlaczego się śmieje.

Kto płakał tu, kto płacze? Tu więcej się nie płacze. A kto płacze, dowodzi, że włec, dlaczego płacze.

Kto mówi tu, mówi i młeczy? Kto młeczy, będzie wskazany. Kto mówi, ten przemłecza, gdzie jego sprawy ukryte.

Kto gra tu, ten gra w piasek? Kto gra, pod ścianę musi, ten rękę swoją w grze przegrał gruniołnie, przepalił!

Kto umrze tu, czy umarł? Kto umrze, jest nieobecny. Kto umrze, ten niezniszczalny, bo umarł tu bez powodu.

SZKOŁY, MŁODZIEŻ, MRÓZ

Dalszy ciąg ze str. 1

optymizmu, nie ma przecież mowy o najwłaściwszym opanowaniu przerabianego materiału, ani o należytych utrwaleniu go, wydaje nam się jednak — trochę w myśl zasady, że w każdym nie-szczęściu jest odrobina szczęścia — iż ten rodzaj nauki przyda się kiedyś po latach dzisiejszym uczniom szkół podstawowych: nauczy sa-

modzielnej pracy, tak ważnej np. na wyższych studiach. Trzeba jeszcze z uznaniem podkreślić, że Inspektoraty Oświaty poszczególne dzielnic wykorzystują przymusową przerwę na pracę nad podniesieniem kwalifikacji nauczycieli. Inspektorat dzielnicy Śródmieście zorganizował na przykład w Pałacu Sportowym kurs dla nauczycieli wychowania fizycznego, którzy bardzo sobie chwalą jego uczestnicy, a jest ich 120

osób. Organizuje się również konferencje nauczycielstwa, administracji szkolnych, służby sanitarnej itd. Stosunkowo najgorzej wygląda sytuacja w szkolnictwie zawodowym. Wprawdzie i tu technika miała tylko krótką przerwę w zajęciach teoretycznych, a potem 24 szkoły tego typu ścieśniono w kilku ogrzewanych budynkach i rozpoczęto naukę w skróconym zakresie. Wprawdzie przerwa- no zajęcia nie we wszyst-

kich Zasadniczych Szkołach Zawodowych (w 12 na 33) jednakże równie ważne jak zajęcia teoretyczne są zajęcia warsztatowe. Wstrzymanie tych zajęć spowodowało bardzo poważne kłopoty i zagroziło wykonaniu planów szkoleniowo-produkcyjnych. Ta sytuacja odbiła się na pewno niekorzystnie na poziomie absolwentów szkół zawodowych. Trzeba jeszcze pamiętać, że kilka łódzkich techników pracuje w ramach zajęć warsztatowych dla produkcji, wykonując wiele potrzebnych towarów począwszy od galanterii a skończywszy na obrabiar- kach i frezarkach. Opóźnie-

nia programowe w połowie lutego trwały już przeszło cztery tygodnie, co w tym wypadku jest bardzo groźne. Cieszyć się więc należy zapowiedzią, że w bieżącym tygodniu szkolnictwo zawodowe rozpocznie normalną pracę. Tęgo samego życzymy zresztą wszystkim szkołom w Polsce oraz wszystkim rodzicom. Nauczycielstwo i władze oświatowe jeszcze raz zdają egzamin. W bardzo trudnych warunkach pracowali oni ofiarnie i, co również cieszy, planowo i mądre. Sądźmy, że społeczeństwo potrafi to właściwie ocenić. MAREK WAWRZKIEWICZ

"NIEPOKÓJ" czyli brak ambicji

Niepokój przed podróżą, Jerzego Broszkiewicza w Teatrze Nowym ogląda się najpierw ze zdziwieniem, potem z zażenowaniem, a wreszcie ze smutkiem. Zaczyna się rodzinną fotografią przy katafalku — myśl o tym katafalku towarzyszy nam przez całą tę komedię — na tym bowiem katafalku spoczęła nie tylko bohaterka komedii, pani Maria, ale także ambicja pisarza, Jerzego Broszkiewicza. Jest to komedia tragiczna, bo tragiczne wydaje się oglądanie agonii ambicji dobrego pisarza. Jest czymś smutnym obserwowanie jak dobry pisarz staje się złym, jak autor niezwykle ambitnego spektaklu „Imiona władzy”, dramaturg, który za swego życia doznał się ksiązkowego wydania swych sztuk teatralnych, jak ten autor raptem pisze komedię, w której nie ma nic do powiedzenia i która grzeszy wszystkim — nie najlepszym pomysłem, złą literacką robotą, brakiem psychologicznego umotywowania. Już „Skandal w Hellbergu” Broszkiewicza był sztuką bardzo dyskusyjną, ale widziało się w niej ambicję dotknięcia wielkiego problemu. W „Niepokoju przed podróżą” nie już nie ma. I nie o to chodzi, że Broszkiewicz — dramaturg wziął na warsztat komedię, która miała być bezpretensjonalną rzeczą „do śmiechu”, ale o to chodzi, że zabrakło mu nawet ambicji, aby zrobić rzecz bezpretensjonalną i naprawić „do śmiechu”.

Pomysł do sztuki — fingo-wanie własnej śmierci — w ilu to komediach i tragediach oglądaliśmy to jako punkt wyjścia, że wspomnę choćby „Volpone”, czy „Śmierć Tarekka”. Lecz o ile każda z tamtych sztuk niosła z sobą właśnie taki, a nie inny pomysł, był on bowiem przymatem rozszepczającym i ukazującym nam ludzkie postawy i charakter, to w sztuce Broszkiewicza jest on czymś przypadkowym, stał się powtórzeniem niepotrzebnym, świadczącym o braku inwencji twórczej autora. Jeżeli bowiem dramaturg bierze na warsztat pomysł już powielony i eksploatowany, to tylko po to, aby polemizować z rozwiązaniami tego pomysłu dokonanymi przez jego poprzednika. Jeśli zaś tego nie robi — właściwie nie ma dla niego usprawiedliwienia. Dlatego nie widzę usprawiedliwienia dla Jerzego Broszkiewicza.

Banalnemu pomysłu towarzyszy i banalne rozwiązanie. Każdy, kto ogląda w życiu przynajmniej dziesięć

sztuk, domyśla się od razu, że ten, dla którego sfingowano śmierć — zjawia się pod koniec trzeciego aktu, a jeśli ma co do tego wątpliwość przekona go o tym program teatralny, gdzie jest napisane, że brat Marii oczywiście wystąpi na scenie. Wbrew autorowi sądzę, że warunkiem dobrej i bezpretensjonalnej komedii jest ciekawa i zaskakująca widza intryga. Pani Maria finguje własną śmierć bo chce wysłać córki na Wyspy do brata. Dlaczego? Bo coś jej ciągle „warczy nad głową”, bo „ma kompleksy wojny”. Zaiste, motywacja wzięta z zupełnie innej sztuki. „Niepokój przed podróżą” przypomina nieco rupieciarstwo, w której nagromadzone w sposób przypadkowy sprzęty z różnych garniturów meblowych. Gdyby uroczą pani Maria powiedziała, że chce wysłać córki za granicę, bo tam będą miały auta — uwierzyłbym jej. Ale gdy mówi o groźbie wojny — nie wierzę. Nie można kłaść kapusty obok zajęcy, bo one kapustę zjedzą. Broszkiewicz sili się, aby osadzić swą komedię w polskich realiach, ale nie udaje mu się to do końca, jego dwaj bohaterowie, Rudolf i Antoni, to mają być „typowo” polskie zło-dziejzaki z MHD, a jednocześnie nikt jakoś nie wie z czego żyje ta biedna pani Maria, ani skąd ją stać na tak piękne mieszkanie? Syn-kowie mówią o ojcach, per „złodzięzaki”, matka o córeczkach per „idiotki” — to ma być właśnie ów polski „folklor”, ta nasza „rzeczywistość”, ten nasz „konflikt pokoleń” — daj Boże zdrowie aktorom, którzy muszą nieść w teatrze cały ten bagaż.

Więć o aktorach, bo oni jedni zasługują w tej sztuce na pochwałę. Barbara Rachwańska — jak zawsze znakomita, doskonale Zygmunt Zintel i równie dobry Seweryn Butrym. Trzy córki pani Marii — zagrane bez pudła; uroczą i sympatyczną Urszulą Modrzyńska, inteligentną i sprytną Marią Górecką, ładną i zakochaną Martą Szczepaniak. Dla młodych mężczyzn nie było ról — wymienię więc tylko z recenzentkiego obowiazku, że w przedstawieniu udział także wzięli: Zbigniew Józefowicz i Witold Zatorski. W roli fotografa interesująco wystąpił Sławomir Misiewicz, a Zygmunt Malawski trafnie zagrał epizod powrotu wujaszka z Wyp. Reżyseria Wojciecha Pilar-skiego — poprawna.

I na tym właściwie koniec. Choć nie — narzucają się przecież pytania pod adre-

sem Państwowego Teatru Nowego, który sztukę z własnej przecież woli wziął na warsztat i zaprezentował publiczności.

„Niepokój przed podróżą” wystawił jeden z teatrów warszawskich i sztuka ta spotkała się z druzgocącą opinią krytyki. Po co i dlaczego powtórzono ją w Łodzi? Braki i niedostatki tej sztuki wychodzą już w czytaniu — po co sprawdzać je kosztem łódzkiego widza? I pytanie nieco ogólniejsze, pod szerszym adresem. Właściwie w jakim celu opracowuje się na początku sezonu tak zwany „repertuar teatralny”? Repertuar ten publikuje się w prasie, jest on szeroko dyskutowany, ci i owi sprzecząją się na jego temat, ba, zatwierdzają plany repertuarowe. I potem tak się jakoś w Łodzi dzieje, że plany repertuarowe sobie, a programy w teatrach — sobie. Nagle okazuje się, że pozycje, które miały świadczyć o ambicjach teatrów i o racji ich istnienia w naszym mieście, te pozycje nie są realizowane, a na ich miejsce wprowadza się mierne sztuki w rodzaju „Niepokoju przed podróżą”.

Mamy już drugą połowę lutego, sezon teatralny zmierzają powoli ku końcowi. Gdzie jest „Zmierzch” Babla, „Czerwona magia”, „Galdnerheda”, „Makbet” Szekspira, „Fizycy”, „Dürrenmatta”, „Uwaga z Altony” Sartre’a, „Antoniusz i Kleopatra” Szekspira? Dlaczego zamiast „Makbeta” oglądamy „Klub Pickwicka”, a zamiast „Zmierzchu” Babla — „Niepokój przed podróżą”? Dlaczego zamiast „Uwag z Altony” mamy oglądać „Wierną rzekę”? Jednym słowem — dlaczego zamiast pozycji ambitnych, karmi się nas pozycjami nieambitnymi lub wręcz tandetą?

Wydaje mi się, że sprawa warta jest przedyskutowania. Zezwalać można na zmiany w repertuarze, ale tylko w tym wypadku, gdy są one głęboko uzasadnione, gdy teatr chce słabszą pozycję zamienić na lepszą i ambitniejszą, a nie odwrotnie. Trzeba — jak sądzę — wzmocnić kontrolę raz zatwierdzonego i przedyskutowanego repertuaru teatralnego. Opracowując repertuar dyrekcje teatrów muszą liczyć że za wszystkimi swoimi możliwościami, a nie robić to „dla zamydlenia oczu” — bo tak już do tej pory trochę wygląda. Czujemy się oszukiwani i mamy prawo do niepokoju. Nie do „Niepokoju przed podróżą”, ale do niepokoju o repertuar.



Dlaczego? Bo Łódź już do tego dojrzała. A przed dziesięć czy dwadzieścia laty? Nie. Wtedy jeszcze nie dojrzała, aby o niej pisać jej historię. Czym to wytłumaczyć? Czyli na czym polega ta dojrzałość Łodzi do swej własnej historii?

Ano rozpatrzmy pokrótce ten problem. Co prawda powinni do tego wziąć się właściwi ludzie, to znaczy historycy, ale skoro oni milczą, to trudno — nie świeci garnki leńca, trzeba się nieprofesjonalistycznie zabrać do rozpatrzenia tego problemu. Nie jest on zresztą zbyt trudny ani specjalnie skomplikowany — niemniej trzeba Łódź nieco gruntowniejsz znać z tak zwanej autopsji czyli być z urodzenia lub zamieszkania od najmłodszych swych lat związanym z nią swoją osobistą egzystencją, w tajemniczym niejako w jej sprawie, w jej początki i rozwój, w rytm jej życia dawnego i obecnego, mieć w sobie odczuć i uświadomioną skalę porównawczą wszystkich jej dialektycznych przemian, jako przyczyn jej dzisiejszego charakteru, stanu, wyglądu i znaczenia. Słowem trzeba ją, tę Łódź, mieć w sobie doświadczoną jako przeżycie nieodłączne od naszego osobistego losu i determinujące w znacznej mierze, jeśli nie całkowicie, ten los. Wtedy, nie będąc z profesji historykiem, ma się jednak prawo roztrząsać problem dojrzałości Łodzi do swej pisanej historii.

Ktoś może powie: dobrze, ale doświadczenie literackie, jakie mógłbym przypisać np. sobie, jest tak drobnym wycinkiem ogólnego problemu Łodzi, że nadawanie sobie z tego tytułu jakiegokolwiek prawa do wyrażania opinii jest nieskromna użuparcia. Odpowiem na to: nie użuparcia, a po prostu obywatelski obowiązek. Przede wszystkim ten pozornie „drobny wycinek”, jakim jest doświadczenie literackie w ogólnym problemie Łodzi, nie jest wcale tak drobnym, a poza tym jest niezwykle ważnym, bo ilustruje najczulsze i drogie awansu Łodzi do własnej historii: jest wiernym i wierzytelnym jej zwierciadłem.

Na dobrą sprawę tak zwany ruch literacki w Łodzi, mający znaną świadomość akcji o ambicjach artystycznych z nastawieniem na szeroki rezonans społeczny, zaczął się dopiero za mojego życia, we wczesnych latach nieposkromionej nieczym młodości, — prawdę mówiąc ten ruch literacki zaczyna się od powstania pierwszej w dziejach Łodzi grupy literackiej, której byłam inicjatorem i której czasopismem pt. „Meteor” byłam współtwórcą. Pierwszy raz w tym roku zaczęło mówić, a i pisać obszernie i szeroko w prasie, o zbiorowym ruchu literackim w Łodzi. O grupie młodych literatów świadomie działających w Łodzi i dla Łodzi. Po raz pierwszy w debiutanckich tomikach wierszy i prozy tych literatów pojawiła się Łódź jako świadomie obrany i ideowo wyzyskany temat artystyczny. Tak było w moim zbiorze wierszy „Krzyk z miasta”, który ukazał się najwcześniej, bo w roku 1929, podobnie było w tomikach wydanych w latach następnych: „Nie ma mnie w domu” Grzegorza Timofiejewa (1930), „Gwiazdy na strychu” Kazimierza Sowińskiego, „Ludzie wśród ludzi” Światopelka Karpiańskiego, w powieści o Szlezynie „Gdzie jesteś, przyjacielu?” Jerzego Zawiewskiego, zbiorze nowel o Łodzi „Młodość za kratami” i powieści „Schodami w górę, schodami w dół...” Rafała Lena. Krytyka w naszym gronie mieliśmy tylko jednego, ale za to od razu teglego: Władysława Bieńkowskiego.

To nie, że zarówno samo nasze czasopismo „Meteor”

jak wszystkie nasze książki (z wyjątkiem Karpiańskiego i Lena) ukazywały się w Warszawie, ale pisane były przez łódzian, w Łodzi i przede wszystkim dla Łodzi. Nie było w Łodzi ówczesnej dziennika, którego łamów nie zapełnialibyśmy co tydzień naszymi utworami, nie mówiąc już o zbiorowych imprezach, występach autor-skich, wieczorach dyskusyjnych, odczytach i prelekcjach. Proszę zajrzeć do ówczesnej prasy łódzkiej w latach 1928—1930: ile naszych utworów, artykułów, polemik, ile recenzji o nas i nie o nas, lecz przez nas pisanych! A przez wszystkie te elukubracje literackie prze-wija się jak złota nitka w szarej przędzy myśl o Łodzi — mieście brudnym i trudnym ale jakże ekscytującym tematycznie i pobudzającym artystycznie!

Czy byli w Łodzi literaci

MARIAN PIECHAL

CZAS napisać historię ŁODZI

przed nami? Byli. I to jeszcze jacy: Władysław Reymont, Tadeusz Miciński, Andrzej Strug, Bolesław Lesmian, Józef Wittlin, nie licząc wcześniejszych i późniejszych, jak Stefan Gorczyński, Kazimierz Wroczyński, Antoni Szandlerowski, Artur Gliżczyński. Ale to wszystko były ptaki przelotne, na jeden sezon, na dwa, na chwilę. Niektóre z nich, to prawdziwe orły jak choćby Reymont i Miciński, po których także dzieła, jak „Ziemia obiecana” i „Książka” Patimoklin” pozostała wiecznie żywym i zaszczytnym dla nas świadectwem ich twórczego pobytu w Łodzi. Owszem — orły, niemniej — przelotne. Inni, tu urodzeni, autochtoni, też niezgorzeli, też wysoko latający, tacy jak Julian Tuwim przede wszystkim, przed nim Zygmunt Bartkiewicz, a po nim Jan Nepomucen Miller — również przelotni, choć bliscy, rodzimi, ale niestali, właściwie przylotni i odlotni. Zresztą, jeśli działali w Łodzi przez dłuższy lub krótszy okres — raczej krótszy — to działali w poe-dynkę, luźno, na własną rękę, szerszego i głębszego echa w rezonansie społecznym Łodzi nie budząc. Z jednym jedynym wyjątkiem Witolda Wandurskiego, który usiłował wzbudzić w Łodzi zbiorowy ruch artystyczny — ale teatralny, nie literacki. Jego wiersze nie budziły rezonansu — zbyt nikły miał talent.

Jedynie nasza grupa — grupa „Metora” — wzbudziła ten rezonans, stała się wykładnikiem zbiorowego ruchu literackiego w Łodzi i poprzez liczne metamorfozy ideowe i artystyczne, czego

wyrazem były nowe zakładane przez nas czasopisma literackie w późniejszych latach aż do tragicznego Września — „Prądy”, „Wymiary”, „Odnowa” z dopływami nowych nazwisk jak Antoni Kasprzowicz, Tadeusz Sarnacki, Mieczysław Jastrun i innych — przetrwaliśmy aż do naszych czasów, znów biorąc osobisty udział w tworzeniu na terenie Łodzi powojennej takich reprezentacyjnych dla niej czasopism jak „Łódź Literacka”, „Kronika”, a nawet poprzez ścisłą i wieloletnią współpracę i „Odgłosy”. Czas wykruszył już z obiegu niejednego z nas, nie jeden tytuł, a nawet cała grupa nasza stała się już właściwie kategorią historyczną, odnotowaną na stałe w podręcznikach literatury, ale twórcze, że tak powiem, działanie tej naszej pierwszej grupy literackiej w Łodzi trwa w jej dziejach nadal, będąc dla niej nie tylko inspiracyjną tradycją, ale jeszcze kształtującą realnie obecną jej rzeczywistość literacką zwaną siłą.

Nie. Nie będzie miał racji ten, kto powie, że piszę o sobie, ponieważ w każdym z tych etapów zbiorowego ruchu literackiego w Łodzi i w każdym z jej czasopism o trwałym znaczeniu brałem udział. Chciałem tylko przez to udowodnić, że Łódź już dojrzała do swojej pisanej historii. Ten mój „drobny wycinek” literacki i udział osobisty w nim mej skromnej biografii, to jednak ważny element tej dojrzałości społecznej i kulturalnej Łodzi. Na innych „odcinkach” czy „wycinkach” jest tak samo. Łódź wychowała i wychodowa-ła już nie tylko swoich własnych literatów, ale też i muzyków, wirtuozów, plastyków, architektów, naukowców, oświatowców, społeczni-ków, działaczy publicznych, dziennikarzy. Wytworzyła własną inteligencję twórczą. Nie tylko na własną wewnętrzna potrzebę miast ale i dla kraju. Wytwarzamy na eksport nie tylko produkty wielokulturowe, lecz także intelektualne, twórcze, umysłowe. Wielu naszych ziomków, ukształconych i ukształtowanych ideowo i duchowo przez nasze miasto zajmuje wysokie i najwyższe stanowiska we wszystkich dziedzinach działalności ludzkiej w kraju. Sądzę więc, że takie sro-dowisko twórcze, które jest nie tylko samowystarczalne dla siebie, ale i niezbędne dla całego kraju, stając się ważnym ogniskiem gęstej siły i znaczenia, dojrzało już do swej pisanej o sobie historii.

Panowie historycy, czas wreszcie od przytoczeń i prac szczegółowych przejdź do uogólnień i syntez, do całościowego, logicznie powiązanego w swych składowych elementach, obrazu dziejów Łodzi. Żyją jeszcze ludzie, którzy podobnie jak ja w literaturze, mogą wam opowiedzieć o różnych dziedzinach życia zbiorowego w Łodzi w swych ewolucyjnych i rewolucyjnych przemianach od samych ich początków. Zawsze, co żywe źródło, to nie martwy papierowy dokument, który też jest ważny, może decydujący, ale nie tak bezpośredni i autentyczny. Myślę tutaj o takich ludziach, jak Jan Augustyniak, twórca czytelnictwa w naszym mieście, jak Ludwik Waszkiewicz, twórca archiwaliów łódzkich, jak Józef Pilarowski, twórca ruchu teatralnego w Łodzi, jak Stefania Skwarczyńska, twórczyni humanistyki łódzkiej, jak Stanisław Chruszczewski, współtwórca początków dziennikarstwa łódzkiego i jak wielu innych jeszcze żyjących inicjatorów i pionierów rozmaitych dziedzin życia kulturalnego w naszym mieście.

odgłosy str. 7



„Niepokój przed podróżą”. Na zdjęciu od lewej: B. Rachwańska, U. Modrzyńska, M. Szczepaniak i M. Górecka. Fot. G. Puciato

CO w terenie?

Brak należytego zapó-
trzenia w węgiel odbił się
również na normalnej pra-
cy placówek kulturalno-o-
światowych. O czasowym
zawieszeniu działalności
meldują m. in. powiatowe
domy kultury, 10 powiatów,
w których 4 miejskich bibliotek
publicznych i 188 bibliotek
terenowych. W powiecie
łaskim zamknięto 45 ście-
żek.

Spśród ponad 600 bibli-
otekarzy zatrudnionych w
województwie łódzkim
tylko 9 posiada wyższe wy-
kształcenie. Trzeba zazna-
czyć, że w tej liczbie znaj-
duje się 5 pracowników
Wojewódzkiej Biblioteki
Publicznej w Łodzi (za-
trudniającej ok. 16 osób).
Średnie wykształcenie po-
siada 323 bibliotekarzy. Na
wyższych uczelniach stu-
diuje 10 osób, 40 dokształ-
ca się w szkołach śred-
nich. Pełna kwalifikacja
bibliotekarska w stopniu
średnim posiada 99 osób,
a 45 w tej chwili ją uzy-
skują. Tyle cyfr, nie
trzeba dodawać, że przy-
gnębiające. Pytamy — jak
wobec tego kształtuje się
poziom działalność in-
strukcyjno-metodycznej bi-
bliotek? Województwo
łódzkie ma szalone zanie-
dbania pod względem czy-
telniczym i żadne „akcje“
nie pomogą, dopóki ludzie,
którzy za ich przebieg są
odpowiedzialni, nie zdo-
dają rzetelnej wiedzy. Nale-
ży więc zacząć od ulecze-
nia lekarza...

W roku 1959 na terenie
naszego województwa no-
wotowano 126 sal widowisko-
wych, przystosowanych do
występów teatru zawodowe-
go. W roku 1962 liczba
nich zmalała do 98, a w
bieżącym roku rozpatrije
się możliwość przedstawień
teatralnych tylko w 84
pomieszczeniach. Z tego
38 sal nadaje się do eks-
ploatacji w okresie zimo-
wym; 8 następnym także;
pod warunkiem, że kie-
rownictwo teatru musi sa-
mo (ściś) dopilnować wła-
dze gromady, aby salę w-
dostępny i przystosowały
do spektaklu. W 42 można
grać tylko latem. Dlaczego
tak się dzieje? Ot, na
przykład w Brzeźnicy pow.
Radomsko jest sala Ochof,
niczej Straży Pożarnej,
ale posiada betonowe po-
sadzki i ściany. Nie można
ustawić dekoracji. Wy-
starczy tylko położyć po-
sadzkę podłogową i teatr
mogłby odwiedzać Brzeź-
nicę, ale nie ma komu o-
tym pomyśleć. W Karznie-
cach k/Sieradza jedyną sa-
lę ZKK, eksploatuje zespół
amatorski, który nie do-
puszcza konkurencji teatru
zawodowego. Państwowy
Teatr Ziemi Łódzkiej mu-
stał skreślić z planu swo-
ich objazdów 20 miejscow-
ości (m. in. Czarniewice
pow. Rawa Maz., Czarno-
cin, pow. Łódź, Dłutów
pow. Łask, Gidle, pow.
Radomsko, Popów, pow.
Łowicz, Leszno, pow. Ku-
tno i in.) w których obo-
jętność i karygodne nie-
dbalstwo władz gromadz-
kich uniemożliwiają spo-
życie sztuki z planu swo-
ich objazdów. Komentarze
chyba niepo-
trzebne.

Stan i perspektywy dal-
szego rozwoju placówek
kulturalno-oświatowych w
powiecie bełchatowskim.
Tej sprawie poświęcone
były obrady wspólnego
posiedzenia Komisji Kul-
tury WRN oraz Komisji
Kultury PRN w Bełchato-
wie.

JULIAN BRYSZ

To nie anegdota, to fakt: Pre-
zydent RP okresu sanacji —
Mościcki wybudował sobie re-
zydencję w pięknej Spale, ale
po jakimś czasie skonał, a
że Pilica śmierdził. Węgiel do to-
maszowskiej Fabryki Włókien
Sztucznych, która rzekę za-
smradzała, rząd zwrócił się z
prośbą, że pokryje koszty
przenosin fabryki, byle tylko
zechciała wybrać sobie miejsce
gdzie indziej.

Zamiast wstępu

Są różne metody oznaczania
stanu zanieczyszczenia rzeki.
Metoda pierwsza, już wspomi-
nana, polega na przeliczeniu
ilości ścieków na możliwości
ludzkie. Na przykład oczysz-
czalnia węgla o wydajności 100
kilogramów na dobę, produkuje
tyle ścieków, co 300 ludzi, ki-
szarnia ogórków o tej samej
wydajności — tyle co 50 ludzi.
Z tego punktu widzenia,
Łódź liczy sobie 2 miliony 700
tysięcy mieszkańców. Owe
dwa miliony, to oczywiście
„spersonifikowane“ fabryki.
Wszystko odpływa dwiema
skromnymi rzekami, Bzurą i
Nerem.

Metoda druga, bodaj naj-
prostsza, bada stosunek ilości
ścieków do ilości „naturalnej“
wody w rzece. Ner na przy-
kład zawiera zwykle w swo-
im korycie dwie trzecie ście-
ków i jedną trzecią wody.
Wreszcie metoda trzecia, to
zrozumianych dla laika, —
to tzw. próba BZT — Biologiczne
Zapotrzebowanie Tlenu. Nie
tlenu potrzeba, by rozłożyć
i zneutralizować ścieki, by
rzeka nie przekształcała się w
uchnący kanał? BZT prze-
ciwnie czystej rzeki wynosi
od 1 do 10. BZT Neru — 300.
Oznacza to, że Ner byłby rzeką
czystą wówczas, gdyby je-
go źródła produkowały mini-
mum 30 razy więcej wody.
Coś jak Mississippi lub Jang-
Tse-Kiang.

Awantura o „Kare“

Piotrkowska huta szkła „Ka-
ra“ (prosimy nie traktować
nazwy jako nomen omen) za-
marzyła sobie ogrzewanie tzw.
wanien szklanych za pomocą
gazu.
Gazownia w Piotrkowie nie
pokryłaby nawet dziesiątej
części zapotrzebowania, gazu
w ogóle mamy za mało i na-
wet przebiegający w sąsied-
ztwie rurociąg Śląsk — War-
szawa nie mógłby dostarczyć
potrzebnej ilości.
Wobec tego huta postanowi-



ła wybudować własną gazow-
nię. Może na Śląsku, gdzie
jest źródło surowca (koks) i
skąd prowadzi linia przesyłowa?
Nie, w Piotrkowie. In-
westując opacznie, nie wzię-
to pod uwagę jeszcze jednej
kwestii: przy zgazowywaniu
koks powstaje fenol, którego
trzeba się pozbyć. W jaki spo-
sób? Przez spalanie. Na owo
spalanie zużywa się dziś w
„Karze“ tyle gazu, ile wy-
nosi zapotrzebowanie całego
miasta Piotrkowa.
Pomóżmy jednak „efekty“
inwestycji. Rzecz w tym, że
w momencie uruchomienia ga-
zowni, urządzenia do spalania
fenolu nie były jeszcze goto-
we. Fenol więc, wylewany na
podwórze, splotał do rynsztok-
a. Działo się to zimą, więc
rynsztoki w drodze do Pilicy
zamarały. I nagle, z pierwszą
odwilżą, wszystko ruszyło.
Fenolu nie zatrzymują, żąd-



ne filtry, dostał się więc pro-
ściutką drogą do rurociągu
Pilica — Łódź. Rurociąg na-
tychmiast zamknęto. W zwią-
zku z ograniczeniem dopływu
wody, musiał stanąć na 3 dni
dwie duże fabryki w Łodzi.
Straty z tego powodu oblicza-
no na około 4 miliony zło-
tych. W samej „Karze“ pro-
dukcję wstrzymano na mie-
siąc. Jakże straty?

Nil zapomniany

Był taki moment podczas I
wojny światowej, kiedy prze-
mysł łódzki całkowicie zamarł.
Wtedy, czego najstarsi ludzie
nie pamiętali, ryby wróciły
Nerem aż do Lutomerka.
Szybko je wsakże wykurzo-
no.
Ner na długości 40 km, aż
do Poddębic, jest rzeką mar-
twą, jest po prostu kanałem
ściekowym, pozbawionym ja-
kikolwiek form życia biolo-
gicznego. Utrzymują się tam
tylko beztlenowce, bakterie
gnilne. Ner cuchnie. Ale czy
koniecznie trzeba robić z tego
powodu tragedię?
Ner mógłby stać się Nilem
ziemi łódzkiej. Na niezmelio-
rowanych łąkach nad Nerem
zbiera się rocznie 8-10 kwintal-
i siana z hektara. Tam zaś,
gdzie wkroczyła melioracja —
80 do 120 kwintali. Przez
pierwsze 40 lat naszego wie-
ku zmeliorowano około 2,5 ty-
siąca hektarów łąk nad Ne-
rem. Po wojnie — około 600
hektarów. To wciąż bardzo

musi pić „mazi“ z kanału.
Zupełnie inaczej rzecz się
ma z Bzurą.

Rynsztok w pustyni

Tak, to właśnie Bzura za-
sługuje na miano rynsztoka
w pustyni. Na długości 100
kilometrów, aż do miejscow-
ości Orłów, jest rzeką całkowi-
cie martwą, jej woda nie na-
daje się do użytku. Przepły-
wa przez rejon bardzo gę-
sto zaludnienia, przez ośrodki
przemysłowe pozbawione
wody pitnej. Dość wspomnieć,
że poszukiwania wody w Łę-
czycy trwały już przeszło 10
lat, z minimalnym skutkiem.
I to w sytuacji, gdy środkiem
miasta przepływa „rzeka“.
Trudno o większy paradoks.
Bzura wypływa z lasów ta-
giewnickich. Sama Łódź za-
nieczyszcza ją minimalnie, bo
w tych rejonach miasta nie
ma ani przemysłu, ani kana-
lizacji. Nieszczęście zaczyna
się w Zgierzach. Ścieki z zakła-
dów „Boruta“ powiekają
„wodostan“ Bzury o 50 pro-
cent. Są to, na domiar złego,
ścieki niezwykle perfidne, za-
wierające moc najróżniejszych
składników, które stale się
zmieniają. Oczyszczenie tych
ścieków byłoby technicznie
niezwykle trudne i szalenie
kosztowne. Właściwie należa-
łoby w tym celu zbudować
drugą fabrykę wielkości „Bo-
ruta“.
Notabene przed kilku laty
kosztem około 15 milionów
złotych wybudowano w „Bo-
rucie“ neutralizatory i osad-
niki, które tylko nieznacznie
pomagają.
Na przestrzeni dalszych kil-
kunastu kilometrów swoja
porcję do rzeki dorzucają fa-
bryki Aleksandrowa i Ozor-
kowa. Kilka kilometrów za
Ozorkowem znajduje się cu-
krownia Leśmierz, która przy
pomocy tego błota wyrabia
cukier i sama z kolei uzupeł-
nia Bzurę jadowitymi ściekami.
W Łęczycy dochodzą za-
mulone wody kopalniane, w
Orlowie — rzeka Ochnia, no-
sąca odchody z cukrowni O-
strowskiej i z przemysłu w Ku-
tnie, a także z fabryki mleka
proszkowanego w Krośniewi-
cach. Wystarczy? Niestety, aż
nadto. Trzy dość duże miasta
— Ozorków, Łęczycę, Łowicz
— mają w centrum cuchnący
kanał. Już względy estetyczne

przemawiałyby za oczyszcze-
niem Bzury, względy ekono-
miczne są jeszcze bardziej
istotne.
O ile śmierdzący Ner niko-
mu nie szkodzi, przeciwnie —
mogłby przynieść korzyści,
zresztą już je przynosi, o tyle
z Bzurą rzecz się ma odwrót-
nie.
Jest jeden radykalny sposób
uzdrowienia Bzury: ścieki ze
Zgierza odrowadzić kanałem
do Neru. Ścieki zgierskie sta-
nowiłyby tam tylko 5 procent
ścieków łódzkich i zginełby
w masie. Koncepcja budowy
kanału liczy już sobie 7 lat.
Opracowano 8 wersji projek-
tu kanału, odbyto kilkadzie-
siąt konferencji. Koszt kanału



ma wynieść w przybliżeniu od
30 do 100 milionów złotych.
Kiedy budowa kanału stanie
się realna? Niestety, trudno
do dziś odpowiedzieć na to
pytanie. A czas już byłby naj-
wyższy wziąć szpadle do r-
ki.

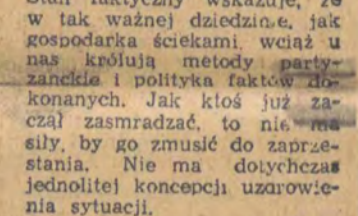
Bilans

Tak więc z czterech więk-
szych rzek naszego wojewódz-
twa, dwie są zanieczyszczone
kompletnie, jedna — miano-
wicie Warta — jest zupełnie
nie wykorzystana dla „spła-
wiania“ i neutralizowania
ścieków, bo w jej rejonie nie
ma większych miast ani za-
kładów produkcyjnych, zaś
ostatnia — Pilica — zanieczy-
szczona jest tylko na pewnych
odcinkach, ale za to na od-
cinkach bardzo ważnych.
Bo oto jedyny większy uję-
cie wody w województwie, dla



urociągu Pilica — Łódź, znaj-
duje się pod Tomaszowem
i tam właśnie jest największe
zanieczyszczenie przedsiębiorstw
spalających ścieki.
Wzorny przykład „Kary“.
Fenol przy stężeniu poniżej
1 mg/litra na litr jest wła-
ściwie nieszkodliwy dla orga-
nizmów żywych. Daleko wcze-
śniej, niż stężenie osiągnie
próg szkodliwości, bo już przy
jednej tysięcznej miligramu,
zafenolowana woda tak śmier-
dzi, że nie sposób wziąć ją
do ust.
Jedynie miejsce zatem, gdzie
nie należało budować fabryki
wypuszczającej fenol, znajdu-
je się właśnie w rejonie To-
maszowa, gdzie indziej mógł-
by sobie w tych stężeniach
spływać bez szkody dla niko-
go i niczego. I tam właśnie
tę fabrykę zbudowano.

Prześledźmy Pilicę od źró-
deł. Na początku zatrzyma ją
ściekami fabryka płyt piśnio-
wych w Koniecpolu. Zanie-
czyszczenie „działa“ na prze-
strzeni około 40 kilometrów,
właśnie w tym rejonie znaj-
dują się dwa gospodarstwa
rybne, które ponoszą z tego
powodu duże straty.
Dalej Luciąż splotają do
Pilicy ścieki z Piotrkowa i
fabryki barwników w Woli
Krzysztoporskiej. Ta ostatnia
fabryka posługuje się oczysz-
czalnią z czasów króla Cwiecz-
ka, ścieki wędrują sobie przez
szereg stawów filtracyjnych,
gdzie osiadają. „Urządzenie“
działa skutecznie do momen-
tu, gdy stawy zaczynają za-
marzać. Co dzieje się wów-
czas, mogłoby obrazowo o-
niewiedzieć pracownicy filtrów
ujęcia rurociągu Pilica —
Łódź. Zresztą posiadłowa lek-
cie miałem oglądać próbki
ścieków z fabryki, pobrana do
butelki. Ciecz była tak gęsta,
że nie dawała się wylać.
Całe szczęście, że Toma-
szowskie Zakłady Włókien
Sztucznych powstały wcześ-
niej, niż rurociąg. W przeciwn-
ym wypadku, zgodnie z do-
tychczasową logiką, ulokowa-
no by je prawdopodobnie tak,
że nie jeden prezydent, lecz
wszystkie miasta 700-ty-
sięczonego miasta wściekałyby
się bezsilną złością.
Odlóżmy żarty na stronę.
Stan faktyczny wskazuje, że
w tak ważnej dziedzinie, jak
gospodarka ściekami, wciąż u
nas królują metody party-
zanckie i polityka faktów do-
konanych. Jak ktoś już za-
czął zamrażać, to nie ma
siły, by go zmusić do zaprze-
stania. Nie ma dotychczas
jednolitej koncepcji uzarowa-
nia sytuacji.
Pracownicy wojewódzkiego
laboratorium badania wód i
ścieków, którym kieruje od-
dany sprawie p. mgr inż. Ta-
deusz Banachowicz, co mie-
siąc wyruszają w rejsy po
całym regionie, co miesiąc
przywożą do laboratorium 80
do 90 butelek z próbkami: wa-
chają, ważą, mierzą, badają
pod mikroskopem. Zapisali już
wynikami grubie tomy i cze-
kała na wdzięcznego czytel-
nika.
W kraju gospodarki plano-
wej, jakim jest Polska, wła-



ściwie dopiero od paru lat
zajmujemy się planowaniem
w omawianej dziedzinie. Pow-
stał Centralny Urząd Gospo-
darki Wodnej, odpowiednie
wydziały w prezydiach woje-
wódzkich rad narodowych, od
roku tworzy się właściwie ko-
mórki w powiatach.
Weszła w życie ustawa o
ochronie wód przed zanie-
czyszczeniem i kilka innych
aktów prawnych. W obraco-
waniu jest plan perspekty-
wiczny gospodarki wodnej.
Perspektywy jednak, jak ta-
ma nazwa wskazuje, bywają
odległe.
Jak na razie, pewne,
względnie korzyści odnoszą
Polski Związek Wędkarski, Wę-
dkarze wypracowali od fa-
bryk znad Bzury 220 tysięcy
złotych za wytrucie ryb w
rzece. Ten fakt ma jednak
znaczenie li-tylko symbolicz-
ne, żeby nie powiedzieć — fi-
lozoficzne.



Z notatnika prokuratora

Józef Tłoczek prowadził wóz. Obok niego siedział młody mężczyzna o małej, ruchliwej twarzy, głowę miał wtuloną w ramiona. Na ustach zastąpił mu jakiś dziwny, trudny do określenia grymas, który jednak wydał się Tłoczkowi bardzo nieprzyjemny. Drugi pasażer również zupełnie jeszcze młody, masywny chłopak, tkwił bez najmniejszego ruchu na tylnym siedzeniu. Przez cały czas nie powiedział do siebie ani jednego słowa. Miał jechać ulicą Szececińską w stronę Zgierza. To wszystko.

Pierwszy cios przyszedł zupełnie niespodziewanie. Tak nagle, że nawet nie krzyknął. Następne uderzenie załaziło mu krwią oczy. Teraz ciosy spadały gradem. Puścił kierownicę i zasłonił rękoma głowę. Jak przez mgłę dotarli do niego wysoki, historyczny krzyk mężczyzny, który siedział obok niego: „buj! buj! zabij dziada!”. Zdołał jeszcze wyciągnąć ze stacyjki kluczyk. Silnik przestał pracować. Zawołał: „panowie, co wy ze mną robicie? zlitujcie się!”. Odpowiedział mu syk: „Będziesz ty zaraz widział! Dawaj pięciądze!”. Czyjeś ręce chwyciły go za gardło. Krew zalała mu usta.

W nocy 2 października 1962 roku, o godzinie 4 min. 20 milicja rozpoczęła przesłuchania obu zatrzymanych bandytów. Wyjaśnia podejrzany Jerzy Klimczak, uro-



dzony 8. 8. 1942 roku w Ozorkowie. Drobny brunet, duże, czarne oczy, wydatny nos. Nerwowy i niespokojny. Właśnie niedawno, po dokonaniu zdjęć i oględzin zdjęt z siebie białą koszulę zakrwawioną na kołnierzyku i na mankietach; spodnie, których nogawki były tak zlane krwią, jakby co najmniej była to krew Klimczaka, tylko jego ofiary. Oto streszczenie jego wyjaśnień: „Przyznałem się do chęci zabrania pieniędzy taksówkarzowi i napadu na niego. Często myślałem, jak zdobyć większą ilość pieniędzy i często rozmawiałem na ten temat z moim serdecznym kolegą Ryszardem Wydrzyńskim. W ubiegłym tygodniu Wydrzyński zaproponował mi dokonanie kradzieży samochodu

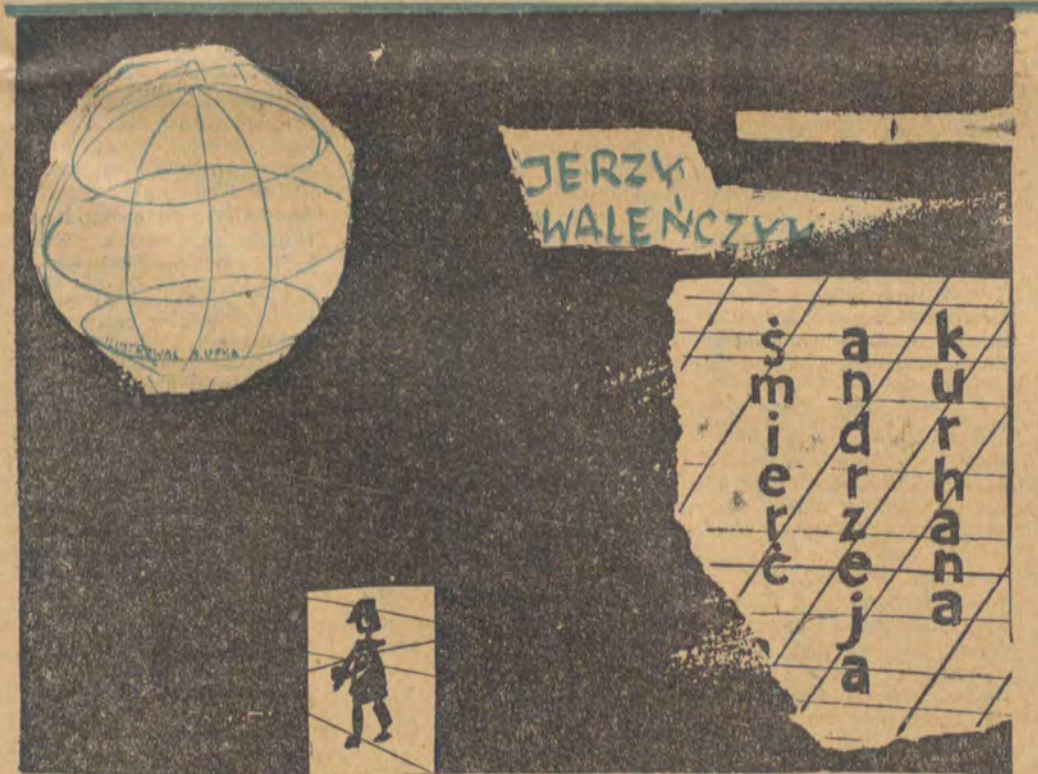
osobowego. Mówił, że po dokonaniu kradzieży wyjmemy z samochodu silnik, rozbiemy go i sprzedamy. Wydrzyński miał gotowy plan działania, który polegał na tym, żeby któregoś dnia wziąć w Łodzi taksówkę, oguszyć i obezwładnić taksówkarza, ukraść samochód, a następnie wymontować i sprzedać silnik. Tłumaczyłem Wydrzyńskiemu, że plan taki jest niebezpieczny, ale w końcu dałem się namówić. Uzgodiliśmy, że zrobimy to wieczorem 1. 10. 1962 roku. Wydrzyński polecił mi poszukać łomu i dostarczyć łopatę. Znalazłem więc stary przecinak, posiadałem także łopatę. Wydrzyński przyniósł teczkę, aby to ukryć. Łom owinałem papierem i okryłem nitką, żeby nie było widać, że to łom. Kilka minut po 18 przyjechalśmy

Łodzi. Wysiedliśmy na krańcówce przy ul. Północnej dokładnie o 20.08. Wiem to stąd, że spojrzalem na zegarek. Pieszko przyszedł na Plac Wolności. Następnie pieszko poszedł na postój taksówek przy rogu ulic Lutomierskiej i Zachodniej. Uzgodiliśmy, że ukradniemy tylko „Warszawę”. Wsiadliśmy do pierwszej z brzozy taksówki. Usiadłem obok kierowcy. Był to starszy, tegi mężczyzna. Wydrzyński z tezką i „narzędziami” usiadł z tyłu. Przedtem ustaliliśmy, że Wydrzyński uderzy i zamroczy kierowcę, a ja miałem za zadanie przejąć kierownicę i opanować wóz, gdyż cała akcja miała odbyć się bez zatrzymywania w czasie jazdy. Przedtem też uzgodniliśmy, że zrobimy to na nie oświetlonej ulicy Szececińskiej, mało uczesz-

czanej przez ludzi, wśród pół. Wydrzyński zaczął bić kierowcę dopiero po ujechaniu 3 kilometrów od Aleksandrowskiej w kierunku Zgierza. Usłyszałem kilka uderzeń żelazem w głowę siedzącego obok mnie kierowcy. Po kilku pierwszych uderzeniach kierowca puścił kierownicę i złapał się za głowę. Przedtem zdążył wyciągnąć kluczyk ze stacyjki. Silnik przestał pracować, ale samochódjechał dalej na skutek rozbiegu. Chwyciłem za kierownicę. Samochód po jakimś czasie stanął na środku szosy. Kierowca w tym czasie był nieprzytomny. Po zatrzymaniu kierowca odzyskał przytomność i zaczął krzyżeć. Wydrzyński uderzył go wtedy łomem po rękach, którymi zasłaniał głowę. Kierowca ponownie stracił przytomność. Wsiadliśmy z samochodem. Poczuliśmy wyciągać kierowcę, którego chcieliśmy zostawić w lesie i odjechać samochodem. Kierowca był bardzo ciężki i wyciągnęliśmy go z wielkim trudem. Położyliśmy więc go na skraju szosy i chcieliśmy odjechać. Wydrzyński jednak doszedł do przekonania, że miejsce jest źle wybrane, że trzeba z kierowcą odjechać dalej i dobrze go ukryć w miejscu nieuczęszczanym przez ludzi. Zaczęliśmy go z powrotem wnosić. Jeszcze gorzej nam to szło, niż wynoszenie i trwało bardzo długo. W końcu udało się nam wepchnąć go na tylnie siedzenie samochodu. Wówczas usiadłem za kierownicą, aby jak najszybciej odjechać, gdyż zobaczyliśmy światła jakiegoś nadjeżdżającego samochodu. Nie mogłem nigdzie znaleźć kluczyka. Kolegi w tym czasie w samochodzie już nie było, nawet nie zauważyłem jak się ulotnił. Samochód był coraz bliżej i usłyszałem jak się koło mnie zatrzymał. Z przerażeniem zobaczyłem, że to jest wóz MO! Milicja wyskoczyła z samochodu z pistoletami w dłoniach. Przedtem mnie oświetlili. Co miałem robić? Podałem się... Zostałem zrewidowany i wsadzony do samochodu. Ja w ogóle kierowcy nie biłem.

Nie chcieliśmy go zabić, tylko ogłuszyć”.
W tym samym czasie, kiedy składał wyjaśnienia Klimczak, inny oficer przesłuchiwał Ryszarda Wydrzyńskiego. Wydrzyńskiemu również zakwestionowano następującą część odzieży: koszulkę sportową z długimi rękawami — plamy krwi na kołnierzu i rękawach.
Ryszard Wydrzyński urodził się 11. 1. 1945 roku. Masywny. Spokojny. Ponury. Skupiony.
— Panie poruczniku — mówi Wydrzyński — Klimczak zaproponował mi dokonanie napadu na taksówkarza. Co pan mówi? Ze to ja miałem być inicjatorem? Nie, to nieprawda. Ja tylko zgodziłem się na propozycję Klimczaka. Tak, rzeczywiście. Naszym zamiarem było wymontowanie z samochodu silnika, ale oczywiście nie tylko silnika. Chcieliśmy zdobyć także skrzynię biegów, zawory i głowicę. Klimczak przyniósł łopatę i łom. Słucham? Nie, to nie była moja inicjatywa. Łopatę i łom przyniósł i kazał ukryć w krzakach. Nawet nie wiedziałem początkowo po co są te przedmioty. Potem dopiero Klimczak podzielił zadania. Oczywiście, że to on dzielił zadania, nie ja, gdybym ja dzielił zadania, to bym nie wybrał sobie bicia. A tak, to ja miałem bić, a Klimczak miał tylko prowadzić samochód i zabezpieczyć się przed niebezpieczeństwem uruchomienia silnika. No i ładnie mnie urządził... Taka szmata! Przepierzam pana porucznika. Jestem zły na niego... Ile razy uderzyłem kierowcę? No, może trzy, może cztery razy. Nie, nie! Na pewno nie więcej! Skąd tak pan przypuszcza? Nie! Przysięgam, że uderzyłem go nie więcej jak cztery razy! No i wtedy właśnie wysiadł silnik. Zdzi-

Dalszy ciąg na str. 10



Bo to jest historia bez początku i bez końca, jakich wiele jest w naszym życiu, choć upieramy się, że śmieszna powagą przy historii, które mają swój początek i koniec, choć wydaje się nam, że każda historia naszego życia powinna mieć kłamrę dialektyczną, powinna być taką, aby z niej coś wynikało, ale ja nie jestem winien temu, że w większości wypadków naszego niepoważnego życia absolutnie nic nie wynika, jakkolwiek uporczywie, z samozaparciem i rozgoryczeniem szukamy konwulsyjnie pięknej pointy eksponującej to, co dotąd było niewyksponowane, zamykającej to, co było dotąd otwarte, pointy-morału, pointy-odwagi, pointy-zachęty do życia, do działania, do uczestniczenia w symbolach, los każe ci uczestniczyć, do sprawowania funkcji, jakkolwiek los ci wyznacza.
Ta historia jest historią bez morału. Nie znaczy to, że chcę kogokolwiek znie-

chęcać do życia, albo coś brzydkiego powiedzieć na nie, o, po co. Brzydkie epitetu to nie moja domena. Jestem człowiekiem poważnym i spokojnym, i nie mi bardziej obcego niż brzydkie epitetu pod adresem życia. Dlatego muszę wszystko od początku, ale jak, jeżeli początku nie znam, jeżeli końca nie znam, a z tego co wiem o tej sprawie to krótką rozmowa z żoną Andrzej Kurhana pod „Egzotyca”, kiedy rozglądałem się dodatkowo, bo ktoś czekał na mnie; rozmowa chłodna, rzeczowa, informacyjna, w której na chwilę zapomniałem nawet o kim mówimy. Tak, na moment zapomniałem imienia tego, o kim mówimy. I, to się zdarza, zwłaszcza wtedy, kiedy świadomość podszeptuje ci, że coś w tym wszystkim jest niejasnego, że synteza i lakoniczność historii jednego młodego człowieka jest zbyt brutalna i jednoznaczna, i powinienem, jeżeli chcę się

po tym wszystkim czegoś dowiedzieć, powinienem zacząć od tego tak, jak zaczyna szanujący się naukowiec — zbierać fakty. Ale od pewnego czasu zacząłem wątpić w istotny sens rangi faktów. Ja, który kochałem je, który byłem do nich przywiązany obsesyjną miłością, który lubiłem ich granice, ich dzwonek alarmowe, ich sygnały barwne, ich krótki kategoryczny imperatyw. Fakty zaczęły mi tonieć cholesterolem, jak lody kupione u Granowskiej na rogu Piotrkowskiej i Narutowicza, wyniesione na słońce, lizane leniwie podczas spaceru Piotrkowską.
To misterium umowne w tym konsumowaniu lodów w ciemnej bramie, wiejącej chłodem od kamienia, otoczony ścianami niezbyt estetycznymi, ale praktycznymi dla tych celów!
Przepraszam, nie chcę porównywać śmierci Andrzej Kurhana do zjedzenia porcji lodów, jakkolwiek przy-

puszczam, że dla wielu jego kolegów właściwie tylko tym była i niczym więcej, jakkolwiek zestawienie może wydawać się nam drastyczne. Wybrałem tę bramę dlatego, że... właściwie sam nie wiem dlaczego. Jest w tej całej historii tyle niewiadomych, a ja nie potrafię rozwiązywać niewiadomych, a jeżeli przepisuję je z tablicy, to na pewno źle przepiszę, pozamienię cyfry, bo będę myślał o czymś innym, nie o tym co piszę, i też nie wiem dlaczego tak jest. Dlaczego tyle naraz spraw domaga się głosu, jak gdybym był medium, które potrafi mówić na raz kilkoma językami, kilkoma losami, kilkoma bilansami.
Kiedy wspominałem o Andrzej Kurhanie komuś, powiedział: „kto w ogóle taki?” Nie potrafiłem dać odpowiedzi. Rozłożyłem nawet bezradnie ręce, jakby uświadamiając sobie, że naprawdę został dźwięk, nazwa, znak, który trzeba wypełnić czymś, chociażby zbliżonym do tego, z czym się ten znak wiązał.
Na przykład teraz, gdyby Kurhan zapukał do drzwi i stanął nade mną, powiedziałbym: „Wiesz, głupia sprawa, chodzą takie wersje, jakobys nie żył, ale ja w to nie wierzę, dobrze się stało, że cię widzę, bo to rozwiata różne plotki i nie-domowienia tych, którzy cię znali”.
To takie postawienie sprawy, teraz, tu, nie jest uczciwe. Nie chciałbym, aby Andrzej przyszedł. Nie, Andrzej, nie przychodzi. Zostań tam, gdzie teraz jesteś, nie chcę cię wywoływać, chociaż stosunki między nami były fair, nie mam podstaw, aby się bać twojej wizyty z grobu.
„Nie łam się - powiedziałbym, spróbuj się zastanowić, co to się stało ze mną”.
„Poczęstowałbym cię czymś, ale mam tylko gotowany, dobry boczek, masz chęć?”

„Dobra, dawaj, powiedz mi, a ja bym ukrócił kawalek i ukrócił w małym fajansowym talerzyku”.
„Muszardę masz?” powiedziałbym.
„Coś tam zostało w słoiku”.
„No to dawaj”.
„Chleb jest zbyt suchy, upał sierpniowe suszą chleb, przenikają szyby jednolite, rozsuwają nogi dziewczętom i kobietom w parkach, spływają gorącym strumieniem na czarne opony samochodów, topią smoly na dachach, gasną wieczorami, poszczekując kładąc się w trawach podmiejskich”.
„Stop” powiedziałbym.
„Dlaczego stop”.
„Przyszedłem tu po śmierci po to, abyś się dowiedział czegoś o mnie”.
„Skąd o tym wiedziałeś?”
„Myślałem o mnie ostatnio. Umarli przychodzą, kiedy się o nich myśli”.
„Więc dlaczego się nie materializujesz?”
„Daj z tym spokój, jeżeli moja substancja jest tylko trochę obecna w tobie, to wystarczy”.
„Ho, ho, Andrzej, mówisz substancja, nigdy za życia nie słyszałem od ciebie takiego słowa”.
„Tak, widzisz, tu, z tamtej strony człowiek się dokształca”.
„Nie mam zaszczytu nic o tym wiedzieć”.
„Ja też nie wiedziałem. Czasem zbieramy się tu razem. No widzisz, kilku nas, ale znajdujemy wspólny język, wspólnych znajomych, jest o czym pogadać”.
„Kto tam jest?”
„To tajemnica. Ale wszystkich nie znasz, z tych co znasz, to będzie jedna dziewczyna, miała na imię Miriam, upuściła kwiat w chwili, kiedy ją zobaczyła, upuściła kwiat na bruk, abyś podszedł do niej i powiedział to, to jej miałeś powiedzieć, upuściła pani kwiat chryzantem na asfalt oddaje go w pani ręce stwo-

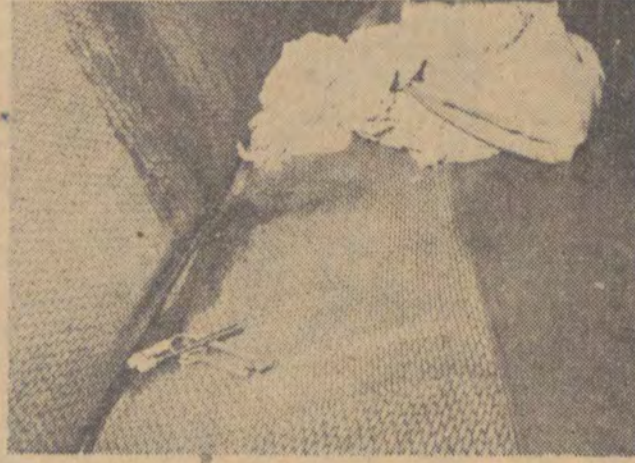
rzony do noszenia całych naręczy takich kwiatów”.
„Przećcież ja wówczas wtedy jej tak nie powiedziałem!”
„Nie? To ciekawe. Powtarza to każdego wieczoru, kiedy się spotykamy, i wydaje mi się, że jest z tego dumna”.
„To zabawne. Nigdy nie takiego w rzeczywistości nie było. Ale ona to powtarza, zapewne chciałaby, aby było piękniej niż było”.
„To ciekawe, co mówisz, i pozwól sobie powiedzieć, że to jest piękne”.
„Tak, to jest piękne”. Ona się otrula, a jej chłopak rozbił się na motocyklu, pracował we „Współczesności”, ale dawno.
„I kto tam jeszcze jest?”
„Jest jeszcze pewien młody chemik. Pił spirytus. Sam. Zbyt często zaprawiany sokiem pomarańczowym. Jego żona odsunęła się od niego, rozumiesz, przykre, inteligentny gość opowiada ciągle anegdoty o tym, jak kiedyś przyszedł do niego z dziewczyną i zostawił ich samych, a ona się nie broniła, bo było jej obojętne”.
„Istotnie, tak było. I mnie było obojętne, jakkolwiek z ciemnego korytarza pod drzwiami nie mogłem usłyszeć żadnego aktu głośnego protestu, więc pomyślałem sobie, że wszystkim w zasadzie jest obojętne to, co się tam z nim dzieje”.
„Tak, było coś takiego, chociaż on opatruje to innymi szczegółami”.
„Drobnostka, miał niezły spirytus”.
Dalszy ciąg na str. 10

Z notatnika prokuratora

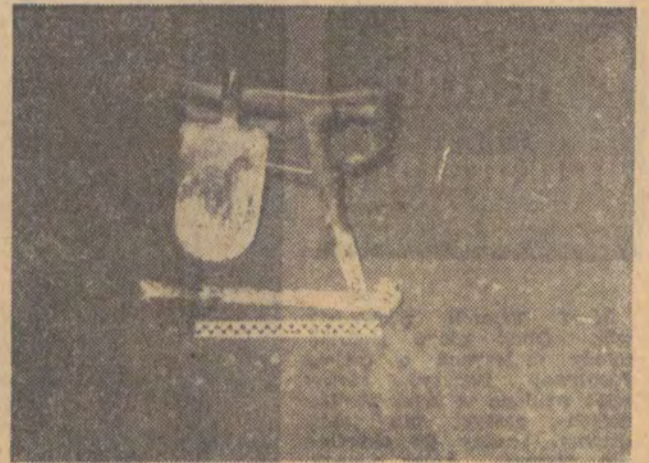
Dalszy ciąg ze str. 9

wiem się, co jest, a to ten, ten drań pozwolił kierowcy wyciągnąć kluczyki... A potem, potem nawet do brzęgu szosy nie potrafił dojechać... Tylko na środku stanął... Kiedy wynieśliśmy kierowcę, leciał właśnie jakiś wóz od Zgierza. Schwaliliśmy pana kierowcę w rowie przy szosie, a sami udawaliśmy, że coś przy silniku jest nie tego, no, że jest zepsuty. Jak wóz przeleciał, wepchnęliśmy z powrotem

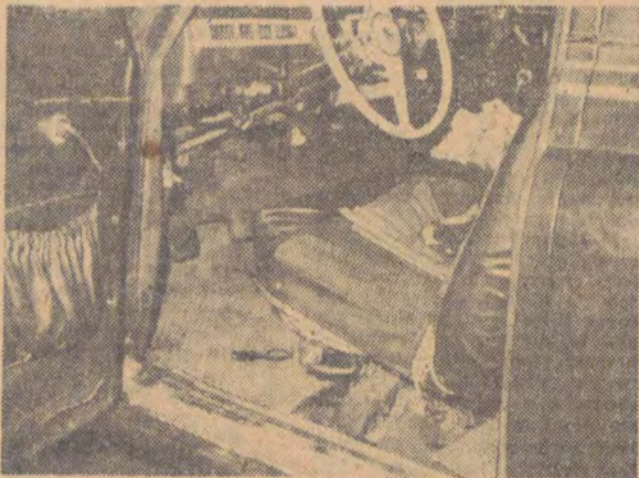
pana kierowcę na tylne siedzenie z tą myślą, żeby go wyrzucił gdzieś dobrze w polu, tak, żeby go nikt z ludzi nie zauważył. No i wtedy właśnie ta wpadka. Coś jakbym przeczuwał. Jak tylko zauważyłem z daleka światła, mówię do Klimeczka: „zapalaj i chodź!”, ale gdzie tam, rył się za tymi kluczykami, a wóz coraz bliżej, tuż, tuż. Oczywiście nawet mi do głowy nie przyszło, że to może być milicja i to jeszcze w takim wieszaniu na kółkach... wyszedłem z naszego wozu i zacząłem udawać, że robie przy silniku. Ale zaczęli hamować. Cholera wie, co im się wydało podejrzane? Zawsze się bałem milicji, ale że będą mieć takiego czuja... Puścili na nasz samochód reflektor... Zobaczyłem, że to milicja i dałem choda do rowu, rwalem trawę, chciałem się zamaskować. Ale gdzie tam. Wyciągnęli mnie jak z saka. I od razu do mamra. Tam, na szosie, do kryminalu! Pan to rozumie? Słucham pana porucznika? Dlaczego mówię o tej taksówce, że to jest nasz samochód? Bo był nasz. Już był nasz. Tylko zabraliście go nam... (D. c. n.)



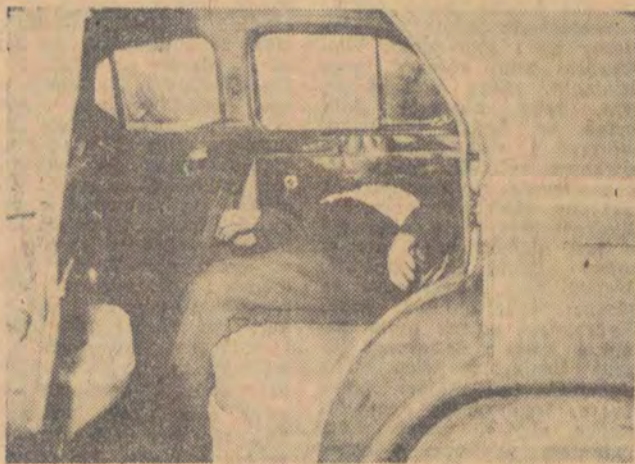
Siedzenie kierowcy — widoczne plamy krwi



Lom, którym zadawano Tłoczce ciosy w głowę oraz łopata z drewnianym trzonkiem, która według przypuszczeń, miała posłużyć do zakopania zwłok



Wnętrze samochodu — siedzenie kierowcy



Odtworzenie sytuacji, w jakiej znajdował się Józef Tłoczek, w momencie znalezienia go przez funkcjonariuszy MO



Podejrzany, Jerzy Klimeczak odtwarza sytuację wynoszenia ranego Tłoczka z taksówki

Dalszy ciąg ze str. 9

„A myśmy nigdy ze sobą nie pili”.

„Nigdy?”

„A w Grandee, wino gronowe, na końcu w drugiej sali zwanej tramwajem, po prawej stronie za filarem?”

„Istotnie, tak było”.

„Niezły ten boczek, dobrze ugotowany”.

„To jest to, co mam na razie. Jesz, oczywiście gwoili konwencji, przecież nie nie jesz i nie ma cię”.

„Istotnie mnie nie ma”.

„Więc wracaj, Andrzej, tam, gdzie jesteś, przecież masz chyba jakieś zaplanowane wizyty, i plany, których nie zechcesz mi powie-

rzyć, ha, ja nie chcę wiedzieć wszystkiego. Te pół-

prawdy są nie do zniesienia”.

„Więc mnie nie ma”.

Teraz, kiedy ten dialog dalszy wydaje mi się zbyt-

eczny, chciałbym zapytać:

„Ile wersji rzeczywistości, wersji człowieka i świata

istnieje? Ogarnia mnie prze-

rażenie, kiedy pomyślę, że

tylko, ile jest świadomości

ludzkich.

Więc znałem Andrzeja

Kurhana, równie dobrze,

jak znam ciebie, jak two-

jego kolegi. Więc okazja, aby

go odnaleźć. Musiałbym go

szukać w naszej ekspery-

mentalnej, efemerycznej,

krótkiej, lecz dość gwałtownym

życiem żyjącej piwnicy.

Tak, lubił ją, ale był jej

satelita. Nie grał na mandolinie,

nie śpiewał, nie recytował,

uzupełniał nieco z daleka

grupę nieco wierszy statystów,

ale i tak długo wytrzymał

kiedy w oczach niektórych moich

znajomych byłem czymś w ro-

dzaży przywódcy tej chaotycznej trochę grupy. Zabawne. Przywódcą. Inni mówili: „wyżywa się”, ale to nie było ani to, ani tamto, zresztą to całkiem inna sprawa i nie można jej z powodu paru głupich jezorów mieszać z losem Kurhana. Psiakrew. Losem? Andrzej był zawsze gdzieś w pobliżu. Wysoki, milczący, spokojny, raczej ponury, otwarty jakimś wewnętrznym wejściem, czekający na coś bez oparcia, bez celu, bez — tak mi się przynajmniej wydaje. Może jego matka powie: „Andrzej miał cel w życiu, był dobrze wychowany, tylko nie pragnął wynurzeń, był skryty”. Może ojciec jego powie: „Dalem mu najlepsze, najstaranniejsze wychowanie, jakie mu dać mogłem, ale nie wiem co się z nim dzieć zaczęło w tym czasie”.

„Chodź tu, Andrzej, O, tak, jak wtedy na Piotrkowskiej przed tym zegarmistrzem z reklamą kolosalnej damskiej nogi oznajmiającej, że tu podnoszenie oczek pończoch nylonowych, stylonowych”.

Twarz bez grymasów, bez tyków, bez wyeksponowanego rysu, bez kierunku, spokojna, spokojem młodego drzewa nieświadomego burz i huraganów. Ten patos. Ale widziałem tę świadomość zaaklimatyzowanych, starszych drzew. Nachylają się w stronę wiatru, kiedy pędzi przed sobą piasek zmierzwiiony, szarpie ich gązdzie, chichocze listkami, naginając się rozsądnie z jego kierunkiem, zgodnie, naturalnie, bo cel wiatru nie jest ich celem, i elastyczność jest próbą dojrzałości, asymilacji, w warunkach nieuniknionych sezonów. Podniosłem wtedy kornierz marynarki kiedy wiało, zakrywając głowę, więc osłaniając to, na czym człowiekowi najbardziej zależy.

„A dziewczynki?”

„Widziałem szukałem wspaniałej, mądrej kochanki, ale sądzę, że jej nie znajdę, ba-

nalne historie i postacie nudzą mnie. Powiem ci szczerze, mam dość tej erotyki zmechanizowanej. Chciałbym kochać wspaniałą dziewczynę, ale pokaż mi, gdzie ten ideał jest, tym bardziej, że sam nie jestem amantem filmowym, i z tego co przeżyłem po zbliżowaniu jednak niewiele widzę pięknych historii”.

„Wiesz, idę do sanatorium na trzy miesiące, podlegę się trochę” — tak mówił.

Mijał nas tłum sztywny jak worek bawełny.

Nie lubię zostawać z tajemnicą i ty nie lubisz, ale wydaje mi się, że zostaniemy z nią tym razem. Teraz zauważyłem, że jeszcze za życia zajęła we mnie pozycję problemu, abstrakcji, nieświadomego ziarna leżącego jednak dość blisko światła, aby kiełkować choć powoli i niepewnym kształtem, i wieloznaczną barwą. Przyszło mi do głowy, że może to zaczęło się od tego, że nie zrobiłeś matury. Banałne. Może nie mogłeś przetrawić tej kłębki?

Nie by się nie stało, gdybym stwierdził tak ewentualność i uznał jej słuszność. Ale chłód, wówczas, tej tezy byłby dla mnie zakakujący, chociaż w gruncie rzeczy byłby on na prawdę tak czułym, warstwą, izolatorem, pod którą musiało się coś jeszcze dzieć dla niego, w sercu tej tezy.

Ale nie mieszałem się w cudze sprawy, nie zaglądam do cudzego garnka, co kto gotuje, co kto mówi, co kto czuje. Nawet prawdę mówię, mam dosyć kłopotów ze sobą. Jego żona powiedziała: „Córeczka to cały Andrzej, wykapany”. Ucieszyłem się, cieszy mnie to, kiedy dzieci są podobne do swoich rodziców.

Chciałem tutaj zakląć o stro, krótko, ułicznie. Ale po co. To nie moja domena, a dla podkreślenia męskości i zaimponowania komukolwiek nie lubię tego robić.

A w ogóle sprawa niez-

dentyfikowana. Kim był rzeczywiście Andrzej Kurhan, który zginął przypadkowo. A może nieprzypadkowo? A kto to może wiedzieć?

Powiedzmy sobie: wiem doskonale. Andrzej Kurhan chodził z kompleksem obowozu koncentracyjnego. Może źródła jego są w tej chwili nieważne, nie się nie stanie jeżeli pozostaną przykryte zarostami lat, kożuchem stabilizacji, rzęsą terażniejszości.

I gotów byłbym się założyć o stówkę nowiutką i gładką w dotyku, że tak było. Musiał któregoś dnia zacząć myśleć o obozie koncentracyjnym. Często i obsesyjnie, maniacko i z uporem, bez kontroli, bezwiednie, mechanicznie, idea obozu koncentracyjnego zaczęła go tresować, padni, powstań, biegiem, a, marsz, marsz, funkcjonalnie, codziennie, co noc. Arbeit macht frei, czarne psy, psy ujadające, precyzja, baraki, wieżyczki z karabinami maszynowymi, druty, linie drutów poszarpanych i postrzępionych, wystrzonych jak zęb ludożercy, spiliowanych, kołczastych.

Ależ Andrzej miał w chwili śmierci dwadzieścia trzy lata, więc nie mógł o tym nie wiedzieć, i jego rozbicie mogło być tylko przejęte, został bezwiednie wciągnięty w kompleks obozu koncentracyjnego, którego z przyczyn naturalnych nie mógł wynieść z czasów wojny. Znam wielu ludzi, którym ten kompleks dokucza, smaga ich, rozbija raz po raz, kiedy próbują się zebrać jak skorupy potłuczonego, glinianego garnka, rozszerepionych, przeżywiających to, czego nigdy w rzeczywistości nie doświadczali, rozłożonych na tysiące impulsów obozowych, przetwarzających obozowy chleb, abstrakcyjny i nierzeczywisty w sposób zawity i niezrozumiały, jakby zazdroścąc innym, że nie byli w obozie koncentracyjnym, niezdolnych do wy-

rzucenia z siebie tej zazdrości spóźnionej, nęcącej.

Mógłbym to uprościć, dla jasności: Andrzej Kurhan zobaczył na filmie obozowym scenę, w chwili zmniejszonej odporności psychicznej i nie mógł już jej wyrzucić z siebie, uwierzył jej, myślał o niej, zwozila go i nęciła barbarzyńskim pięknem, pokazywała jedno wyjście. Powtórzył to, wierciła w nim filuternie, gdy przynikał oczy wieczorem, kiedy odsuwał szklankę herbaty, milczący, z opuszczonymi rękoma, bez żadnej manifestacji palców, jak gdyby były całkiem znieczulone, tylko piękna, uroczą sceną dudniła w nim, przemieniała się z wypadkami dnia, zdumiewała początkowo swym natręctwem, cenną plamą ludzkiego kształ-

tu wiszącego na zelektryzowanych drutach przytrzymanego przez autonomiczne, spilowane zęby zwiśniętego, unieruchomionego jak piękny obraz, jak tęskna melodia skrzypiec, i żyła w nim, piła go i jadła, i krew i ciało jego, chleptała pożądanym jezorem zawartość jego czaszki, diawiła go i tuliła do snu, tarła się o niego, jak najlepsza dziewczyna, spontaniczna, zakochana, przycupnęła w jego sercu niewypelnionym przez żadną ideę, czekała aż wróci do niej w nocy z rozmów, z drobnych zajęć, z nudy, z kłesk, układała mu rysy w powagę nieruchomą, w maskę śmierci, wołała ciałem: jestem, pamiętaj, jestem.

d.c.n.



NASZ WYWIAD:

o pracy aktora i teatrze telewizyjnym

mówi
**JERZY
WALCZAK**



„Z dużym zainteresowaniem śledzę wszelkie dyskusje i polemiki dotyczące, jeżeli nie próby definicji, to przynajmniej zmiernie do uporządkowania, usystematyzowania doświadczeń związanych ze specyfiką nowego zjawiska, jakim jest teatr telewizyjny. Daleko za sobą mamy już rozważania na temat: „Czy telewizja jest konkurencją teatru”, lub też: „O ile jest bliższa teatrowi czy filmowi”. Czas pokazał, że telewizja jest po prostu... telewizją. Ale to stwierdzenie jest dopiero punktem wyjściowym do wytyczenia drogi, którą sobie ona wybierze. Dlatego, bardzo potrzebna i słuszną wydaje się dyskusja, którą otworzył na swoich łamach „Głos Robotniczy”, artykułem A. Grabowskiej o Teatrze Popularnym. Uważam, że rodzaj środków i możliwości, jakim dysponuje telewizja — do pewnego stopnia narzuca widowisku kameralny, intymny charakter. Jestem więc za doбором repertuaru, który właśnie nosi cechy tej intymności. Myślę tu raczej o repertuarze współczesnym, choć wszelkie mechaniczne podziały nie miałyby sensu. Słyszysz się również o próbach pisania sztuk specjalnie dla telewizji. Szkoda tylko, że ich autorów jest stale niewiele i, że realizato-

rzy widowisk TV tak rzadko do nich docierają...
— Widowisko telewizyjne narzuca aktorowi konieczność poszukiwania nowych środków wyrazu, poza normalnymi zadaniami w pracy nad rolą, stawia przed szeregiem dodatkowych trudności. Jedną z najbardziej istotnych, jest trudność pokonania błyskawicznej nieraz zmiany w czasie i przestrzeni. Jakże często w trakcie spektaklu aktor musi się zmienić zewnętrznie i, co ważniejsze — wewnętrznie. Niemal w paru

sekundach, niemal na oczach widzów...
Drugim, bardzo ważnym problemem, jest umiejętność przystosowania się do warunków, jakie wyznacza kamera i wszystkie środki techniczne związane z realizacją widowiska. Aktor telewizyjny musi więc przede wszystkim posiadać zdolność maksymalnego skupienia, które pozwoliłoby mu na stworzenie zamkniętego kręgu własnej wyobraźni, atmosfery, nastroju określanego przez rolę.”
Rozmawiała — (H. K.)

»STYKS« ZBIGNIEWA NIENACKIEGO

Z Nienackim, oczywiście, znów kłopot. Jego „Styks”, przynajmniej w Łodzi, wzbudził duże zainteresowanie i to nie tylko w środowisku dziennikarskim (druga to, w końcu, po „Sprawiedliwości w Kłoto” Władysława Orłowskiego, sztuka łódzkiego dramaturga na małym ekranie), ale również wśród szerokiego kręgu mniej zaangażowanych emocjonalnie widzów. Chcąc nie chcąc zaszyłam taką mnogość opinii, i to opinii najczęściej doskonałe sprzecznych, że łatwiej byłoby mi zaimprowować ankietę, aniżeli napisać recenzję, pamiętając zwłaszcza, że mowa tu nie o ostatniej, a o jednej z wcześniejszych, sztuk Nienackiego.

Trudno nie dosłuchać się w niej echa rozlicznych lektur, z lektur „Przy drzwiach zamkniętych” Sartre’a na czele. Ta grupka przypadkowych ludzi, oczekujących na przybycie charonowej łodzi, sama nad sobą sprawuje osąd i sama sobie wymierza sprawiedliwość — gdyby rzecz pociągnąć jeszcze pięć, dziesięć, piętnaście minut, zbedny byłby przewoźnik w czerni, a jeżeli nie ten, to inny bohater, musiałby po prostu wykrzyknąć znane już nam słowa: — Plekło, to inni!

Zarazem Nienacki pozornie tylko konfrontuje postawy moralne i pozornie tylko zrywa maski — każdy z bohaterów ma bowiem aż nazbyt starannie wypisaną ankietę personalną, każdy jest sklasyfikowany, a miast odkrywania kart, czeka nas jedynie objaśnianie kart od dawna leżących na stole. Tępy dykta-

tor południowoamerykański, fałszywa filantropka, szczywany finansista, morderca na tle seksualnym, a nawet samobójczyni po zawodzie miłosnym, są — dla nas, widzów — tak dokładnie opatrzeni literackimi odnośnikami, że aż jednoznaczni, podobnie jak były jednoznaczne postacie z commedia dell’arte. Jeżeli nawet rzeczona filantropka przydzwiga dwie walizki zawierające o zbożnych uczynkach, to i tak wiemy, że niczym diabełek z pudełka musi wyskoczyć ktoś, kto wymieni prawdziwą cenę tych gestów — tym razem dramatyczny diabełek objawił się w postaci żołnierza w krwawej na czole przepasce broniącego plantacji filantropki przed, jak powiada, czarnuchami.

Jakkolwiek jednak byśmy długo i starannie udowadniali, że sztuka Nienackiego nie zawiera filozoficznego ładunku, w niczym nie umniejsza to dobrej racji tego z moich niezliczonych dyskusantów, który, przyparty do muru, oświadczył: — Cóż, oglądałem ją z większym zacięciem, niżem, aniżeli niejedną „Kobracę”...

Chyć czoła przed tym argumentem. Zrecenzję w prowadzeniu dialogu, umiejętność konstruowania małych niespodzianek (bomba podrzucana dyktatorowi), zuchwałe granie na wyobraźni widza (możwiartowane członki spadające przez komin — nawiasem mówiąc chwyt z katechizy czechowowskiej fuzji, która w trzecim akcie „nie wystrzelała”), klamek przemieszanych z groteską grozy —

wszystko to sprawiło, że „Styks” oglądało się tak zwanym „jednym tchem”, w ciągłym oczekiwaniu Bóg wie jakich objawień. Objawień, oczywiście, nie było — Nienacki pozostawił widza w najdoskonalszej zgodzie z jego porządkiem moralnym i wolnego od konieczności przemysłu; niemniej pozostawił widza nie znużonego, mającego za sobą należną porcję dreszczyków. Zależnie jak patrzeć jest to i dużo, i mało.

Sama realizacja, niestety, nie idealna. Mniejsza już o statyczność ujęć i banalne, często niestaranne kadry — wyrafinowanie operatorskie tu akurat nie było potrzebne — ale również i aktorsku rzecz była wyraźnie niejednorodna. Prosiła się — nazwijmy to tak — „groteska serio”, gdy tymczasem Kossobudzka i Chmurkowski popadali w tony już aż nazbyt komediowe, pozostali zaś wykonawcy oscylowali między „analitycznym realizmem”, a pseudo-magabracą.

Warto było natomiast popatrzeć na Kalinę Jedrusik — zaprezentowała ona w czystej formie manierę, którą wcześniej czy później ktoś nazwie „jedrusikowaniem”; polega ona na mnożeniu tajemniczych półśmieszeków, zawrożeń i snuć się, zamiast chodzenia.

JERZY PANASEWICZ

(Warszawa: 13 lutego 63. Mały Teatr TV. „Styks” Zbigniewa Nienackiego, adaptacja i reżyseria — Janusz Majewski).

DOBRY POMYSŁ

Telewizja katowicka odkryła ciekawe połączenie dwóch typów audycji: rozrywkowej z publicystyczną. Tak wyglądał jej sobotni program „Czwarta zmiana”. Podstawą jego był koncert

rozrywkowy z Domu Kultury w Chorzowie, w który zostały wmontowane wstawki filmowe z komentarzem o zimowych dniach górników i ich walce o węgiel. W taki sposób publiczność chorzowskiego Domu Kultury przestała być dla widowni telewizyjnej anonimowa i można chyba odnotować tu zjawisko, które nazywa się nawiazaniem bliskiego, choć pośredniego kontaktu. Komentarz nietypowy, wyzwał się operowania banalnymi uogólnieniami. Wzrost pleczenie przy jednym ogniu, a w sumie — bardzo pożyteczny koncert rozrywkowy. Szkoda tylko, że właśnie część rozrywkowa nie we wszystkich numerach grzeszyła odpowiednim poziomem. W każdym razie, audycja na pewno należy do udanych, zaś pomysł wart naśladowania.

Go słysząc „KOBRY”?

Ech, nie najlepiej. Raczej — coraz gorzej. Kobra już dawno straciła na swojej popularności. Właściwie, od pół roku przynajmniej, nie odnotowaliśmy ani jednego przedstawienia Kobry, które należałoby do udanych. Jak wyjaśnił Józef Słowicki w jednym z numerów „Przekroju”, wina spada na brak

odpowiednich scenariuszy. Z pustego nie należą. Trudno zgadnąć, jak jest z tymi scenariuszami, ale czy aby na pewno w stu procentach to ich wina? Nam się jednak wydaje, że nie tylko autorom wyczerpał się koncept, ale i reżyserom. Ostatnia Kobra potwierdziła naszą tezę. „Sprawa Normana Linga” pod jednym tylko względem była widowiskiem udanym — aktorstwa. Aktorzy tym razem nie zawiedli. Cóż, jeśli zawiedli wszyscy inni, z reżyserem na czele? Był nim, dla odmiany, Mieczysław Górkiewicz. Pierwsza część Kobry zelektryzowała — no, nareszcie! już można sobie było odetchnąć z ulgą, nareszcie, uczciwa, porządna Kobra, ładnie grana, dynamiczna, świetnie montowana, zaskakująca sytuacjami. Ale w drugiej części nasza Kobra się rozlazła, a zakończenie miała co najmniej glupawę. Przykro.

NIEDZIELA raczej antyfilozoficzna



Oczywiście, ta telewizyjna niedziela. Chociaż w jej programie obejrzelśmy sobie po raz wtóry, i z dużą przyjemnością, telerekordingu już, niestety, „rozmowę nieco filozoficzną”, czyli „Dobranoc, tato” Williama Saroyana. I to było chyba największą okrasą tej smutnej, bo zimowej, a więc długiej niedzieli (telewizyjnej). Ba! Ile jednak potrafi zdziałać dobra adaptacja, dobra reżyseria, dobre aktorstwo! Nawet mętny telerekordingu nie jest im w stanie zaszkodzić.

A co więcej, poza „Dobranoc, tato”?
Właśnie. Mam poważne wątpliwości, czy było cokolwiek więcej godnego obejrzenia w telewizyjnym programie niedzielnym. Poza Saroyanem z telerekordingu, utartymi „pewniakami” telewizyjnymi, o których powiem za moment, no i — oczywiście, „Muzyka łatwa, lekka i przyjemna”. Tej nie wolno pominąć, gdyż odbyła się z „Prologiem”, zupełnie jak w narodowej epopei, śpiewanym przez Irenę Santor, na cześć Lucjana Kydryńskiego.

Każda telewizyjna niedziela ma swoje żelazne punkty programu. A więc: jakiś telerturniej, od kilku tygodni

kronek z lat dwudziestych: „Chwila wspomnień”, „Niedziela sportowa” po „Dzienniku” — i cała reszta. Telerturniej, kronika filmowa, sportowa niedziela zajmują w sumie — plus minus — około dwóch godzin programu. Telerturniej, niedzieli sportowej, czy też „Chwili wspomnień” recenzować nie potrzeba, to są, tak swane, pewniaki, albo — ładniej: pewniki telewizyjne, przeznaczone dla określonych odbiorców, którzy na te audycje stawiają, liczą, i co ważniejsze, nie zawodzą się na nich.

Ponad godzinę programu zabierają audycje dla dzieci i młodzieży. I one są również takimi pewniakami, obliczonymi na odbiór tej najmłodszej widowni telewizyjnej. Zresztą, program dla dzieci i młodzieży, to kwestia oddzielna, wymagająca specjalnego omówienia.
A co z tą „całą resztą” telewizyjnej niedzieli, którą ja, nieszczęsny feltonista, spędziłem siedząc jak koleś przed telewizorem? Tak bardzo chciałem napisać wreszcie jakiś uczelny panegiryk, coś ciepłego i miłutkiego — można chyba się spodziewać, że przynajmniej w

niedziele telewizja uraczy nas jakimś świątecznym specjalnym. Gdzie tam, nabażwiłem się zapalenia spojówek, a panegiryku mimo wszystko nie napiszę. Przyznam się co prawda, że kurs również „Tylko kwalifikowane ziarno siewne” pozwolił sobie opuścić. Co nie przeszkodziło zapytać:

Kto to ogląda telewizję skoro świątanie (zimowe w dodatku) już od godziny dzień w dzień rano? Zainteresowani? Tak jakoś mniemam śmienić, że nawet zainteresowanym tak wczesna pora nie najlepszej odpowiada. Chyba, że są fanatykami, którzy dla siewnego ziarna poświęcają się rezygnując z wypoczynku, śniadania? Nie wiem. Ja tam na szczęście swoje i usprawiedliwienie specjalistą nie jestem, a jakbym był, to też najpiękniej kwalifikowane ziarno siewne nie zmuszyłoby mnie do wstania w niedzielę przed dziewiątą.

No tak. A potem był telekonkurs astronautyczny z Pragi dla młodzieży; nasze dzieci najlepiej powiedzą, jak był, a potem przyszła pora na niezawodny pewniak — PRZERWĘ, a potem — i „Cóż zrobić ze śniegiem”, droczy telewizywie? Prze-

czekać cierpliwie, te małe dziesięć minut, do „Zabawy dla amatorów”. Zabawa amatorów, owszem, przyjemna, my się też bawili, tylko, czy nie za dużo amatorów pod rzą? W sobotę — „9 najlepszych piosenek”? W niedzielę, „Zabawa”. Co tam, drobne przeczucie tam, nabażwiłem się zapalenia spojówek, a panegiryku mimo wszystko nie napiszę. Przyznam się co prawda, że kurs również „Tylko kwalifikowane ziarno siewne” pozwolił sobie opuścić. Co nie przeszkodziło zapytać:

Kto to ogląda telewizję skoro świątanie (zimowe w dodatku) już od godziny dzień w dzień rano? Zainteresowani? Tak jakoś mniemam śmienić, że nawet zainteresowanym tak wczesna pora nie najlepszej odpowiada. Chyba, że są fanatykami, którzy dla siewnego ziarna poświęcają się rezygnując z wypoczynku, śniadania? Nie wiem. Ja tam na szczęście swoje i usprawiedliwienie specjalistą nie jestem, a jakbym był, to też najpiękniej kwalifikowane ziarno siewne nie zmuszyłoby mnie do wstania w niedzielę przed dziewiątą.

No tak. A potem był telekonkurs astronautyczny z Pragi dla młodzieży; nasze dzieci najlepiej powiedzą, jak był, a potem przyszła pora na niezawodny pewniak — PRZERWĘ, a potem — i „Cóż zrobić ze śniegiem”, droczy telewizywie? Prze-

KOWALSKI

